



# DZIŚ i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok IX

Warszawa 1 marzec 1953 r

Nr 9 (379)

Janusz OSTASZEWSKI

# „Jądro ciemności” współczesnego świata



### KRAJ DZIECINSTWA

PRZY lekturze książek Josepha Conrada zawsze szczególnie silnie przykuwają moją uwagę momenty autobiograficzne — tak charakterystyczne dla tego autora.

Tak i tym razem. Utknąłem zaraz na pierwszych stronach „Jądra ciemności”<sup>1)</sup>, niemal na samym wstępie opowieści Marlowa.

„Otóż kiedy byłem małym chłopczykiem — opowiada Conrad o sobie ustami Marlowa — miałem namietność do map. Wpatrywałem się godzinami w Południową Amerykę lub Afrykę, lub Australię, pograżając się we wspaniałościach odkrywczych podróży. W owych czasach było jeszcze wiele pustych miejsc na ziemi...”

...Ale było tam jedno — najwięk-  
sze i — że tak powiem — najbar-  
dziej puste, do którego ciągnęło mnie  
najsilniej.

Prawda, że w chwili mojej wypra-  
wy to miejsce puste już nie było.  
Od czasów mego dzieciństwa zapeł-  
niły je rzeki i jeziora, i nazwy. Prze-  
stało być próżną przestrzenią pełną  
rozkosznej tajemnicy — białą plam-  
ką, budzącą w chłopcu wspaniałe  
marzenia. Przeobraziło się w prze-  
stwór, gdzie panuje mrok”.

Z przedziwną wyrazistością wyo-  
brażam sobie ucznia gimnazjum św.  
Anny, Konrada Korzeniowskiego, jak  
przez okno wystawy sklepowej wpa-  
truje się w kolorową mapę Afryki.  
Myśli jego wędrują daleko...

...daleko od Krakowa (w którym  
przemieszka po powrocie z Wologdy  
i Podola swe chłopięce lata 1868 —  
1874) i daleko od smutnej, nędznej  
Galicji, z której ucieknę wkrótce na  
otwarte morza szerokiego świata.

Uprzymiśnijmy sobie, od czego  
uciekł chłopiec o rozmarzonych  
oczach, wpatrzonych z taką uwagą  
w kontury Czarnego Kontynentu.

Kraków — małe i biedne mia-  
sto, liczące podówczas około 60 ty-  
sięcy ludności (dźwigające się jesz-  
cze ze zgliszczy pożaru, który strawił  
jego trzecią część w lipcu 1850

roku) cieszące się zaledwie od 1868 r.  
autonomią i urzędowym językiem  
polskim. Miasto, o którym w piętna-  
ście lat później będzie pisał Julian  
Marchlewski<sup>2)</sup>: „Kraków, ta siedzi-  
ba inteligencji polskiej — cuchnie  
gorzej od Whitechapel londyńskiego.  
I to nie tylko Stradom i Kazimierz;  
w śródmieściu zdarzyło mi się wi-  
dzieć podwórce o potwornym wprost  
niechlujstwie. Wątpię także, czy  
mieszkańcy najbardziej osławionych  
slums londyńskich gnieźdzą się w  
gorszych norach, niż biedna ludność  
Krakowa”.

Galicja — która, wedle słów  
Szczepanowskiego<sup>3)</sup>, „bogata we  
wszystkie dary przyrody, jest może  
najuboższym krajem na świecie”.  
„Ziemia nasza najobfitsze lny wy-  
daje — woła Szczepanowski — a my  
z dalekich stron sprowadzamy płót-  
no, którym się okrywamy. Mamy  
ogromne trzody owiec i wełnę sprze-  
dajemy za granicę, a po sukno o sto  
mil posyłamy. Wyprowadzamy z  
kraju ogromne masy skór surowych,  
a cokolwiek lepsze obuwie musi być  
ze skóry wiedeńskiej robione. Pro-  
dukujejmy najlepszą pszenicę, a pięk-  
ną mąka bardzo często z Wiednia  
nam przychodzi. Narzędzi, machin i  
wszelkich wyrobów żelaznych dostar-  
czają nam Anglia, Prusy, Styria i  
Królestwo Polskie, a wielka część  
prowincji naszej leży na pokładach  
rud żelaznej. Są lasy nieprzebyte,  
a meble, sprzęty domowe i posadzki  
sprowadzamy z Wiednia i Wrocławia.  
Mamy wszelkie gatunki gliny  
garncarskiej, mianowicie najdosko-  
nalszą glinę ogniotrwałą, a kafle na  
pieca, ogromnym cłem i kosztami  
przewożone obłożone, sprowadzamy  
z zagranicy i płacimy drogę cudzoziem-  
com przybywającym z Wrocławia  
stawić nam pieca...”

Galicja młodoci Konrada Korze-  
niowskiego — to jeszcze Galicja bez  
boryslawskiego zagłębia naftowego  
i bez krakowskiego zagłębia węglow-  
ego. To kraj, w którym „jedna tyl-  
ko gałąź przemysłu rolniczego kwit-  
nie — wyrob gorzałki”, kraj, w któ-  
rym „bieda jest przyczyną nieuctwa,  
nieuctwo jest przyczyną biedy”  
(Marchlewski).

Nędza wyganiała ze zubożałej wsi  
galicyjskiej tysiące emigrantów —  
w świat, za chlebem. Płynęła ta ta-  
nia i ciemna siła robocza do ośrodków  
przemysłowych Austrii, do Saksonii,  
Czech, Kongresówki i Poznańskiego,  
do Ameryki<sup>4)</sup>. Janko Góral z Con-  
radowskiego opowiadania „Amy Fos-  
ter” — to jeden z tysiącznej rzeszy  
tych emigrantów, których wysyłały  
w świat różne oszukańcze, „agencje  
wychodźcze” (porozumiewające się  
telegrafem z cesarzem amerykań-  
skim!). Dziesiątki tysięcy Janków,  
Stachów wieziono do Ameryki jak  
bydło, w nieludzkich warunkach opi-  
sanych przez Conrada.

Do Janka Górala i do wielu innych  
Janków — skierowane było pytanie  
smutnej piosenki Michała Bałuckie-  
go: „Góralu, czy ci nie żal — odcho-  
dzić od gór ojczystych?” Ta sen-  
timentalna pieśń była jedynym bo-  
daj, nieśmiałym protestem przeciw  
galicyjskiej niedoli emigranckiej,  
przeciw nieludzkemu interesowi, w

którym „przedmiotem wywozu z Ga-  
licji” była siła robocza (Marchlew-  
ski).

Taka była nędza galicyjska, smut-  
na i beznadziejna nędza ciasnoty i  
ograniczenia.

„Opowieść o nędzy galicyjskiej —  
mówi Marchlewski w swych wra-  
żeniach z podróży do Galicji — ko-  
ńczyć się musi zawsze rozpaczliwym  
okrzykiem: ginie! Ginie! Ginie! w ba-  
gnie cuchnącym zastoju i ciemnoty,  
ginie! wskutek dzikiego wypacze-  
nia urzędów społecznych, ginie! w  
złasnej winy”.

Taki był kraj, w którym dorastał  
Konrad Korzeniowski.

### TAJEMNICE CZARNEGO KONTYNENTU

NIECHAJ nas przeto nie dziwi  
chłopcę spojrzenie, utkwione  
w mapę, na której rysował się kon-  
tur pełnego tajemnic czarnego kon-  
tynentu.

Od końca wieku XVIII jest Afry-  
ka przedmiotem szczególnie inten-  
sywnego zainteresowania podróżni-  
ków, odkrywców, uczonych, poszuki-  
waczy przygód i majątku. W r. 1788  
zostało założone Londyńskie Towar-  
zystwo Afrykańskie. Wielkie podró-  
że odkrywcy XIX wieku zostały za-  
początkowane przez Mungo Parka w  
latach 1795 — 1797 i 1805 — 1806.  
Clapperton, Oudney i Denham pierw-  
si docierają do jeziora Czad (1822  
— 1824), w następnym roku A.G.  
Laing, jako pierwszy Europejczyk,  
zwidza Timbaktu. Na lata 1849 —  
1865 przypada odkrycie rzeki Zam-  
bezi, jeziora Niassa i wodospadu  
Wiktoria. W tych latach H. Barth po-  
dróżuje po Saharze, Burton dociera  
do jeziora Tanganika, J. Speke i J.  
Grant odkrywają jezioro Wiktorii i  
wodospady Ripon, zwiadcują Ugan-  
dę. W r. 1869 (Konrad Korzeniow-  
ski mieszka już wówczas od roku  
w Krakowie, z ojcem) następuje  
otwarcie Kanału Sueskiego.

Na gimnazjalne lata Konrada Ko-  
zeniowskiego przypadają ostatnie  
podróże Livingstone’a i pierwsze po-  
dróże Stanleya, odszukanie sterane-  
go podróżami i schorowanego Living-  
stone’a w Udźidzi — przez korespon-  
denta New York Herald — Stan-  
leya (1871), śmierć Livingstone’a  
w r. 1873, po 32-letnim niemal po-  
bycie w Afryce. Jest to okres podró-  
ży Schweinfurtha po dorzeczu Bahr  
el Ghazal, Dar Fur i Kordofan. H.  
Cameron realizuje właśnie swoje  
śmiałe zamierzenie przejścia Afryki  
z Bogojomo do Bengueli (1872 —  
1875). Odkryte w r. 1870 złoża dia-  
mentów w Kimberley ściągają lic-  
nych poszukiwaczy bogactwa (wśród  
nich 17-letniego podówczas Cecila  
Rhodesa).

A w tym samym czasie w dalekim  
Krakowie rozmarzone oczy chłopięce  
wpatrują się w mapę Afryki, pokry-  
tą jeszcze białymi plamami tajem-  
nic.

Gdy w r. 1890 zrealizuje się chłop-  
cięce marzenie i Konrad Korzeniow-  
ski pojedzie do Konga Belgijskiego  
— puste miejsce na mapie Afryki  
zapełni już: rzeki i jeziora, i naz-  
wy.

Okazało się, że podróżnicy, uczeni,  
kupcy, poszukiwacze przygód —

wszyscy ci, których nazwiska zacho-  
wała historia Afryki, a także i ci,  
którzy zginęli i pomarli bezimiennie  
— byli awangardą kapitalistycznej  
ekspansji, awangardą imperializmu.

Nic to, że Livingstone, protestan-  
cki misjonarz-odkrywca (a potem  
brytyjski konsul w Afryce) repre-  
zentował obojętne ideały humanita-  
ryzmu, że ujmował się za ludnością  
tuhylecą, która ponoć go ubóstwiała  
(oczywiście w innym sensie niż  
Kurtza z „Jądra ciemności”). Mimo  
to działalność Livingstone’a torowała  
drogę dla penetracji kapitalistycznej  
w głąb Afryki. Tak samo było z in-  
nymi badaczami czarnego konty-  
nentu. Najwyraźniej bodaj występuje  
ta cecha w działalności Stanleya, któ-  
ry, pozyskany przez Leopolda II bel-  
gijskiego, pomagał w latach 1879 —  
1884 w organizacji „niepodległego”  
państwa Kongo, które — nawiasem  
mówiąc — na konferencji berlińskiej  
w r. 1885 uznane zostało za prywat-  
ną własność króla belgijskiego.

W ślad za poznaniem Afryki i jej  
bogactw naturalnych szła ekspansja  
polityczna i gospodarcza państw eu-  
ropejskich. O ile w r. 1876 zaledwie  
10,8% obszaru Afryki należało do  
europejskich mocarstw kolonialnych,  
to w r. 1900 procent ten wynosił  
już 90,4<sup>5)</sup>.

Cecil Rhodes, założyciel Rodezji,  
istotny sprawca wojny burskiej, je-  
den z czołowych przedstawicieli im-  
perialistycznej polityki angielskiej  
swego okresu, stwierdził twardo i bez  
obrony: „Po przeczytaniu historii  
innych krajów widzę, że rozprze-  
strzenienie jest wszystkim; ponieważ  
zaś powierzchnia ziemi jest ograni-  
czona, musi być naszym wielkim za-  
daniem wziąć z niej tyle, ile w ogóle  
możemy osiągnąć”.

### CZAR PRYSŁ

W owym czasie, gdy Conrad od-  
bywał swą podróż w głąb Kon-  
ga Belgijskiego, zostały już wydarte  
kontynentowi afrykańskiemu jego  
najważniejsze tajemnice. Ale wraz z  
wysięciem europejskich państw ko-  
lonialnych, w którym z różnym po-  
wodzeniem uczestniczyły: Francja,  
Anglia, Niemcy, Belgia, Włochy,  
Hiszpania i Portugalia — poczęły  
narastać w sercu Afryki nowe tajem-  
nice czarnego lądu.

Te nowe tajemnice, tajemnice „jad-  
ra ciemności”, tajemnice „Wielkiej  
Spółki Cywilizacyjnej” ukazał Con-  
rad w swych wstrząsających opo-  
wiadaniach.

Często słyszemy wywody o wyzys-  
ku ludów kolonialnych, o ucisku na-  
rodowym i społecznym, charaktery-  
zującym ekspansję imperialistyczną,  
o dyskryminacji rasowej i nędzy lu-  
dów kolorowych. Przeróżające, infer-  
nalne tajemnice, będące treścią tych  
uogólnień, tych pojęć ekonomiczno-  
politycznych pokazuje Conrad w  
swoich opowieściach:

„Sześciu czarnych ludzi szło ścież-  
ką gąsiego, dążąc z trudem pod gó-  
rę. Szli powoli, wyprostowani, nie-  
sąc na głowie małe kosze pełne zie-  
mi, a brzęk towarzyszył miarowo ich  
krokom. Wkoło bioder mieli przepas-  
ki z czarnych łachmanów, których  
krótkie końce chwiały się z tyłu jak

### W NUMERZE m. in.:

- J. ZABŁOCKI — Iluzje i błędy Drugiej Republiki
- S. BŁAUT — Trzy wrześnie Wojciecha Zukrowskiego
- T. KORDYASZ — Uczestnikom „Benefisu życia”
- Z. LICHNIAK — Nieporozumienia poetyckie
- J. PRZEWŁOCKI — Od wścibskiego cesarza do placzliwego premiera
- A. ODNOWA — Inteligencja sprzed pół wieku

ogony. Można było policzyć wszyst-  
kie żebra tych ludzi, stawy ich człon-  
ków wyglądały jak węzły na linie;  
każdy miał na szyi żelazną obrozę,  
a wszyscy byli połączeni łańcuchem,  
którego ogniwa kołysały się między  
nimi z rytmicznym dźwiękiem... Wy-  
chudłe piersi Murzynów dyszały,  
rodzite gwałtownie nozdrza drgały,  
oczy patrzyły kamiennym wzrokiem  
w górę przed siebie. Przeszli o sześć  
cali ode mnie nie rzuciwszy mi na-  
wet spojrzenia, z zupełną śmiertelną  
obojętnością dzikich, którzy są nie-  
szczęśliwi”.

„Czarne kształty czołgały się, le-  
żały, siedziały między drzewami, opie-  
rając się o pnie, tuliły się do ziemi  
— to widzialne, to przesłonięte męt-  
nym półmrokiem — we wszystkich  
możliwych pozach wyrażających ból,  
zgnębienie i rozpacz. Wybuch miny  
w skale dał się znów słyszeć i zie-  
mia pod mymi nogami wzdrygnęła  
się lekko. Praca posuwała się na-  
przód. Praca! A tutaj było miejsce,  
gdzie niektórzy jej wykonawcy usu-  
nęli się, aby umrzeć.

Umierali powoli — to nie ulegało  
wątpliwości. Nie byli nieprzyjaciół-  
mi, nie byli złodziejami, nie zosta-  
ło w nich nic ziemskiego — byli to  
tylko czarne cienie choroby i głodu,  
leżące bezwładnie w zielonym  
mroku. Ściągnięci ze wszystkich za-  
kątów wyrzeźbiona na podstawie le-  
galnych kontraktów, rzuceni w  
nieodpowiednie warunki, żywieni nie-  
odpowiednią strawą — osłabli, sta-  
li się niezdolni do pracy... Czarny  
szkielet leżał wyciągnięty na ziemi,  
opierając się ramieniem o drzewo;  
powieki jego podniosły się zwolna i  
zapadły oczy spojrzęły na mnie, ol-  
brzymie i nieprzytomne, a w głębi  
orbit zlatliło się jakby ślepe, białe  
światło i gasło powoli. Ów chło-  
wiek wyglądał na młodego — był to  
prawie chłopiec — ale wiecie, że  
trudno się w nich połapać...”

Niedaleko tego samego drzewa  
siedziały jeszcze dwie wiązki ką-  
tów ostrych z podciągniętymi noga-  
mi. Jeden z tych Murzynów oparł  
brodę o kolana, patrząc w próżnię w  
przeróżający, nieznosny spłos; brał  
nią jego mara podtrzymując sobie  
czoło, jakby owładnięta wielkim znu-  
żeniem; inne jeszcze były rozrzucone  
wokół, poskręcane we wszelkich  
możliwych pozach pełnych wyczerpa-  
nia, jak na obrazie rzeźbi lub moru.  
Gdy stałem, przerażony zgrozą, jed-  
na z tych istot zwlokła się na ręce i  
kolana, i popęzła na czworakach w  
stronę rzeki, aby się napić. Chłępta-  
ła wodę z dłoni, potem usiadła na  
słońcu skrzyżowawszy przed sobą  
palcusze, a w chwilę później wełni-  
sta jej głowa opadła na piersi”.

„Spotkaliśmy raz białego w rozpię-  
tym mundurze, obozującego na ścież-  
ce, ze zbrojną eskortą złożoną z wy-  
chudłych Zanzibarczyków; bardzo  
był gościnny i podochocony — żeby  
nie powiedzieć pijany. Oświadczył, że  
pilnuje porządku na drogach. Nie  
mogę powiedzieć, abym widział jaką  
drogę lub jakikolwiek porządek, chy-  
ba że ciało Murzyna w średnim wie-  
ku (z dziurą od kuli w czole) o któ-  
re dosłownie potknąłem się o trzy

(Dokończenie na str. 2 ej)



# „Jądro ciemności” współczesnego świata

mile dalej — można uznać za skuteczne zaprowadzenie porządku.

Podróżował ze mną także pewien biały, niezły sobie człowiek, ale zbyt cotyły; miał przy tym nieznośny zwyczaj: młdał na rozpalonych zбочach, w odległości całych mil od najmniejszego skrawka cienia i od wody. Przyznacie, że można się czuć rozdrażnionym, kiedy trzeba trzymać własną marynarkę, niby parasol nad czyjąś głową, póki ten ktoś nie przyjdzie do siebie. Nie mogłem się raz powstrzymać od zapytania, po co on się tu w ogóle wybrał.

— Żeby zrobić pieniądze, naturalnie. A coż pan sobie myśli? — odrzekł pogardliwie.

Tak samo „żeby zrobić pieniądze” przyjechali do Afryki Kayerts i Carlier („Placówka postępu”). Dyrektor Wielkiej Spółki Handlowej, zachęcając ich do objęcia stacji handlowej, stwierdza: „To jest wyjątkowa okazja, aby się odznaczyć i mieć znaczny dochód z procentów od obrotów handlowych”.

Kość słoniowa i pieniądze, bogactwo i władza — oto sprężyny działania „Wielkich Spółek Handlowych”. W pogoni za zyskiem nie ma dla nich żadnych granic, ani przepisów, odrzucają normy prawa i moralności. Tysiące Kurtzów, Kayertsów, Carlierów, setki tysięcy bezimiennych Murzynów — rzucają na pastwę molochowi zysku.

Tortury chciwości i przerażające działanie pokusy zysku pokazuje Conrad w opowiadaniu o „Wspólniku”. Myśl rzucona przez Cloetego — rzekłaby powoli George'a Dunbar. Zasady moralne i jego wola zostają wreszcie sparaliżowane — zgadza się zatopić statek *Sagamore*, byle zdobyć pieniądze.

J. Conrad żył i zaczął tworzyć w okresie, gdy kapitalizm wstępował w swoje imperialistyczne stadium rozwoju. Spojrzenie i sumienie pisarza umiało z niezwykłą przenikliwością i precyzją uchwycić w otaczającym go świecie przejawy wilczego prawa kapitalizmu, prawa bezwzględnej przemocy.

I dlatego też w czasie lektury „Opowieści wybranych” niejednokrotnie stawało mi w pamięci Stalinozkie sformułowanie podstawowego prawa ekonomicznego współczesnego kapitalizmu: „zapewnienie maksymalnego zysku kapitalistycznego w drodze wyzysku, ruiny i pauperyzacji większości ludności da-

nego kraju, w drodze ujarzmiania i systematycznego ograbiania narodów innych krajów, zwłaszcza krajów zacofanych, wreszcie w drodze wojen i militaryzacji gospodarki narodowej wykorzystywanych dla zapewnienia najwyższych zysków“<sup>1)</sup>

Bohaterowie omawianych opowieści Conrada nie są oczywiście zamierzoną ilustracją tez o imperializmie, jako najwyższym stadium kapitalizmu, ani jakichkolwiek tez ekonomicznych. Autor nie zamierzał też na pewno rozprawić się w tych swoich opowiadaniach z ustrojem społeczno-politycznym, w którym żył i którego ofiarami były postaci tych opowiadań. Ale jego rzetelność artystyczna, jego sumienie społeczne, jego umiłowanie prawdy — pozwoliły mu na uchwycenie pewnych typowych zjawisk i pokazanie, jak przełamują się one w psychice ludzkiej.

Mowa tu oczywiście o typowości głęboko pojętej, o typowości „nie oznaczającej bynajmniej jakiejś średniej statystycznej”.

„Typowość — że zacytuje tu w dalszym ciągu G. M. Malenkowa<sup>2)</sup> — odpowiada istocie danego zjawiska społeczno-historycznego, nie jest zaś po prostu zjawiskiem najbardziej rozpowszechnionym, najczęściej się powtarzającym, powszednim. Świadome przejawienie, wyostrenie obrazu nie wyklucza typowości, lecz w pełniejszej mierze ujawnia ją i podkreśla”.

Przejaskrawienia takie występują niewątpliwie w opowiadaniach Conrada. Ich najostrejszym bodaj przejawem jest ponury, wręcz przerażający humor.

„Czar prysł” — mówi Marlow-Conrad.

Podróż do Konga rozwijała ostateczną nie romantyczne złudzenia chłopca, który w małym i brudnym Krakowie wpatrywał się w kontur Nilu, „rzekę wielkiej, potężnej... podobnej do olbrzymiego wyciągniętego węża z łbem w morzu, z ciałem wijącym się poprzez rozległą krainę, z ogonem zagubionym w głębi ładu”, rzeki, która „jak wąż przykuwała wzrokiem niemądrego, małego ptaszka”.

Romantyzm przygód i podróży, urok wędrowców po rozległym świecie i włóczęgi po dalekich morzach, marzenia dzieciństwa pełne rozkosznej tajemnicy — wszystko to przemigło, rozwiało się.

## Dokończenie ze str. 1

żaglowce ustąpiły miejsca statkom parowym. Gdy Conrad odbywał pierwsze lata swego marynarskiego terminu — na morzach świata pływało jeszcze 118 tysięcy żaglowców, w r. 1894, gdy perzuczał marynarkę — było już tylko 98 tysięcy.

Puste miejsca na mapie wypełniły się — nie tylko nazwami rzek, jezior, gór i wodospadów. Wypełniły się krzywdą ludzką, bezwzględny wysyskiem i cyniczną pogonią za zyskiem.

Romantyzm ustąpił miejsca — imperialistycznej grabieży.

### NA PRZEKÓR

#### APOLOGETOM IMPERIALIZMU

ŚWIAT burżuazyjny, świat rodzący się imperializm nieraz z brutalną szczerością głosił swe „pocelnictwo”:

T. H. Carlyle: „Siła i prawo, które na pierwszy rzut oka wydają się czymś tak różnym, są na dłuższą metę jednym i tym samym”. „Wyspy dające cukier i korzenie, Indie, Kanada należały do nas na podstawie rzeczywistego wyroku niebios, nikt jednak nie chciał lub nie mógł w to wierzyć, póki nie zostało to powtórzone, a przez to wynalezione, przez armaty”.

J. Ruskin twierdził, że „wszystkie narody znajdują w wojnie prawdę słowa i siłę myśli, że wskutek wojny umocniły się, a wskutek pokoju przepadły, że wojna je nauczyła, pokój zaś oszukał, wojna wychowała, a pokój zdradził — słowem — wojna je zrodziła, pokój zaś unicestwił”.

C. H. Dilke: „W r. 1866 i 1887 objechałem Anglię dokoła świata; wszędzie znalazłem się w krajach, które mówią po angielsku, w krajach, którym rządzi Anglia... Myślą, która towarzyszyła mi we wszystkich podróżach, jako przewodnik, jest przeświadczenie o wielkości naszej rasy”.

Stanley Jevons: „Pięć części świata jest obecnie naszymi dobrowolnymi trybutariuszami. Równiny Ameryki Północnej i Rosji są naszymi polami zbożowymi; Chicago i Odessa to nasze spichlerze; Kanada i kraje bałtyckie to nasze lasy. Australia pasie nasze trzody baranów, Ameryka nasze stada bydła. Peru przysyła nam swoje srebro, Kalifornia i Australia swoje złoto. Chińczycy uprawiają dla nas herbatę, Indie Wschodnie przysyłają do naszych wybrzeży obfitość kawy, cukru i korzeni. Francja i Hiszpania są naszymi winnicami, morze Śródziemne naszym gajem oliwkowym. Bawlnę naszą otrzymujemy ze Stanów Zjednoczonych oraz innych części świata”<sup>3)</sup>

Curzon jedno ze swych dzieł zadedykował tym, którzy wierzą, że „imperium brytyjskie jest największym z powołanych przez Opatrzność narzędzi czynienia dobra, jakie świat kiedykolwiek widział”.

Przykłady te można by mnożyć, cytując np.: maniackalny testament Cecila Rhodes, który zapisał cały swój majątek na założenie i działalność tajnego stowarzyszenia, mającego na celu rozszerzenie brytyjskich posiadłości kolonialnych i „panowanie przez Wielką Brytanię — całego świata;

Juliusza Ferry, który budując francuskie imperium w Afryce i grantując francuskie władztwo w Indochinach z natosem mówił o „misji cywilizacyjnej w stosunku do barbarzyńskich ludów kolorowych”; innych mężów stanu takich jak Joseph Chamberlain, Salisbury, Leopold II belgijski; historyków takich jak Alfred Rambaud lub J. R. Seeley; ekonomistów, pisarzy, uczonych...

J. Conrad sformułował swój stosunek do współczesnych apologetów ekspansji kolonialnej i imperializmu (pod maską „misji cywilizacyjnej”) w sposób jasny i niedwuznaczny.

Czy pamiętacie wyzutek Marlowa u ciotki — przed wyjazdem do Konga?

„Okazało się przy tym — opowiada Marlow — że jestem także Działaczem, przez duże „D”. Niby wysłańcem światła, niby apostołem późniejszego gatunku. W owych czasach rozpuszczano masę takich bredni w druku i słowie i zacna moja ciotka, żyjąca w pośrodku tej całej blagi, straciła równowagę. Póty rozprawiła o tym, że „trzeba odzwyczaić miliony tych ciemnych ludzi od ich ohydnych życia”, aż wreszcie — dając wam słowo — zrobiło mi się jakós głupio. Ośmieliłem się nadmienić, że przecież spółka została założona dla zysku.

— Zapominasz o tym kochany Charlie, że ten, kto pracuje, wart jest wynagrodzenia — rzekła wesoło”.

A jakże pełna jest ostrego, satyrycznego wyrazu ta scena, gdy Kayerts i Carlier na nędznej, zagubionej stacji handlowej znaleźli kilka starych numerów jakiejś europejskiej gazety. „Ów dziennik omawiał w pompatycznych okresach to, co podobalo mu się nazwać „naszą Ekspansją Kolonialną”. Rozprowiał sze roko o prawach i obowiązkach cywilizacji, o świętym pocelnictwie pracy cywilizacyjnej i wynosił pod niebiosa zasługi tych, którzy krzewią światło i wiarę, i handel w ciemnych zakątkach ziemi. Carlier i Kayerts czytali, dziwili się i stopniowo nabierał o sobie coraz lepszego pojęcia”.

Chciałoby się powiedzieć:

J. Conrad — tak ostro zawsze reagujący na kłamstwo i obłudę — demaskował z pasją kłamstwa apologetów kolonializmu.

Ale w sformułowaniu takim tkwi jednak pewne uproszczenie.

Nie wolno zapominać, że i sam Conrad pozostawał w dużym stopniu pod urokiem potęgi Anglii, pod urokiem jej ekspansji i przężności.

Przypomnijcie sobie wspaniałą inwokację do Tamizy na samym początku opowiadania „Jądro ciemności”:

„Przyływ i odpływ biegają tam i z powrotem w nieustającej służbie, przepelnione wspomnieniami o okretach i ludziach, których niosły ku domowemu wytechnieniu lub ku walkom na morzach. Prądy te znają wszystkich mężów, którymi szczyli

się naród i służyły im wszystkim, od Sir Franciszka Drake'a do Sir Johna Franklina, rycerzom utytułowanym lub bez tytułu, wielkim błędnym rycerzom morza. Prądy te dźwigały wszystkie statki; imiona ich blizszo-cenne kamienie, począwszy od *Złotej Łani* powracającej z łonem pełnym skarbów — statku, co po odwiedzinach Jej Królewskiej Mości znika z gigantycznej opowieści — aż do *Erebu* i *Teroru*, które puściły się na inne podboje — aby już nigdy nie wrócić. Prądy te znają i okrety, i ludzi. Znają tych co wypłynęli z Deptferd, z Greenwich, z Eirth — awanturników i osadników; znają okrety królewskie i okrety finansistów, kapitanów, admirałów, znają cienne fi-gury handlu ze wschodem i upełnomocnionych „generałów” wschodnio-indyjskich flot. Łowcy złota lub łowcy sławy — wszyscy oni płynęli tą rzeką, dzierząc miecz a często i pochodnię — wysłannicy potęgi kraju, niosący iskry świętego ognia. Któraż wielkość nie płynęła z prądem tej rzeki, dążąc ku tajemnicy nieznanych ziem!... Niosła marzenia ludzkie, nasiona rzeczypospolitych, zarodki ce-sarstw”.

Czyż nie jest to poetycka synteza tego, co stanowi treść klasycznego dzieła historyka-imperialisty J. R. Seeley'a „The Expansion of England”?

Dlatego też na zakończenie — przestroga.

Wystrzegajmy się ujęć nadmiernie upraszczających zagadnienie. Nie podsuwajmy Conradowi motywów i interpretacji z roku 1953.

Jego opowieści niechaj mówią do nas własną mową, mową wielkiego pisarza, którego czujne spojrzenie i sumienie wrażliwe na krzywdę ludzką dostrzegały „jądro ciemności” współczesnego świata.

Janusz Ostaszewski

1) Joseph Conrad: Opowieści wybrane („Jądro ciemności”, „Placówka postępu”, „Amy Foster”, „Wspólnik”), wyd. PAX, Warszawa 1952.

2) Julian Marchlewski: „Z podróży po Galicji”, (Pisma wybrane. Tom I. Warszawa 1952).

3) S. Szczepanowski: „Nędza Galicji w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego”, Lwów 1888.

4) Julian Marchlewski: „Etapy rozwoju kapitalizmu w Polsce”, (Pisma wybrane. Tom I. Warszawa 1952).

5) W. I. Lenin: „Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu”, (Dziela. Tom 22).

6) J. W. Stalin: „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR”.

7) G. M. Malenkowa: „Referat sprawozdawczy na XIX Zjeździe KPZR”, „Nowe Drogi” Numer specjalny — październik 1952).

8) Warto porównać tę porywną twradę z cytowanymi powyżej wstępem z książki S. Szczepanowskiego, stanowiącym jej zdumiewający odpowiednik. Dwie strony medalu.

## NA OKRES WIELKANOCNY „VERITAS”

poleca:

FIGURY — Chrystus do grobu	150 cm
Zmartwychwstanie	120 „
	85 „
	60 „
	30 „
	20 „
	80 „
	50 „
	25 „
	18 „

ORAZ paschały, świece kościelne, kadzidło, węgielki do trybularzy itp.

CENTRALA: WARSZAWA, MOKOTOWSKA 43

adres pocztowy: Warszawa 1, skrytka nr 451

s k l e p u:

Białystok, Dąbrowskiego 1  
Bydgoszcz, 1 Maja 31  
Częstochowa, 7 Kamienie 27  
Gdynia, Świętojańska 46  
Giżycko, Mickiewicza 36  
Kalisz, Górska 2  
Kraków, Sławkowska 20  
„ Księgarnia Krakowska  
„ Św. Krzyża 13  
Lublin, Królewska 7  
Łódź, Andrzejka Struga 14  
Nowy Sącz, Św. Ducha 3  
Pabianice, Armii Czerwonej 27

Pelplin, Stalina 24  
Poznań, Kaniąka 10  
Siedlce, Świerczewskiego 20  
Sopot, Prez. Bieruta 7  
Szczecin, Słaska 7  
Swidnica, Nowotki 19  
Tarnów, Krakowska 39  
Toruń, Rynek Starom. 17  
Warszawa, Widok 5  
„ Mokotowska 43  
Wrocław, Katedralna 6  
Zielona Góra, Świerczewskie-  
go 67

## NOWE POEZJE

Artur Miedzyrzecki: „Światło nowej dzielnicy”. Czytelnik 1952. Str. 65 + 1.

WIEKSZOŚĆ zebranych w tym tomiku wierszy można by określić mianem etiud poetyckich. Nie mówię tego bynajmniej w celu pogniebienia autora, ale właśnie na jego pochwałę. Niewielu poetów zaczyna od wykorzystywania materiału własnych przeżyć. Na ogół pierwszym impulsem do podjęcia twórczości „oryginalnej” była literatura. Ale kiedy spora część młodych poetów brnie w rozmaite nadsładownictwa i kontynuacje nie zdając sobie z tego sprawy, w świętym przekonaniu, że „tworzą” a nawet „piszą serdeczną krwią”, niektórzy zaczynają od świadomego eksperymentowania w kręgu przyswojonej tradycji literackiej, by w ten właśnie sposób szukać własnej drogi.

Ta wtrótność, literackość inspiracji twórczej wiąże się często z przesadną dewocją warsztatu, z traktowaniem technicznej wirtuozerii wierszobisar-skiej jako najpewniejszego i najbardziej przekonującego dowodu tzw. kultury literackiej. Nie jest wolny od tej przypadłości również Artur Miedzyrzecki. Przed zabrnięciem w estetyzm chroni jednak poeta rozległą skalą wrażliwości intelektualnej i moralnej, silnie rozwiniętą poczucie związku z określoną sytuacją społeczno-historyczną. Wybór tematyki i problematyki związanej z zagadnieniami budownictwa socjalistycznego, walki o pokój, obrony

Europy przed amerykańskim imperializmem świadczy, że pokusy inteligenckiego estetyzmu nie zdolały w sposób istotny wpłynąć na ukształtowanie się postawy twórczej poety.

Centralnym zagadnieniem warsztatu twórczości Miedzyrzeckiego jest kwestia maksymalnego wykorzystania odziedziczonej tradycji literackiej dla celów poezji socjalistycznej. Samo jednak kształtowanie materiału poetyckiego w fazie pozornie tylko technicznej pracy nad dziełem, jego „forma w warsztacie”, forma *in statu nascendi* jest już określona światopoglądem artysty. Nie ma działań powyżej wstępu z książki S. Szczepanowskiego, stanowiącym jej zdumiewający odpowiednik. Dwie strony medalu.

Nie rozwódzmy się jednak zbyt szeroko nad sprawami powszechnie znanymi. Jeżeli je tu poruszyliśmy, to tylko dlatego, aby podkreślić, że Miedzyrzecki nie szuka dróg łatwych, że stara się on rozbudowywać i komplikować wewnętrzną problematykę współczesnej twórczości poetyckiej. Ta ambicja potęgowania samowiedzy intelektualnej i moralnej artysty świadczy jak najlepiej o młodym poecie i ona to właśnie każe zwrócić uwagę na „Światło nowej dzielnicy”, jako na ważną i cenną zapowiedź.

Stefan Lichański



Janusz ZABŁOCKI

W ŹRÓDEŁ HISZPAŃSKIEJ TRAGEDII

# Iluzje i błędy Drugiej Republiki

W gęstwie bieżących wydarzeń upłynęła niepostrzeżenie data 16 lutego. Rocznicą, która się z nią wiąże, została przesunięta w naszej pamięci wielu późniejszymi wydarzeniami lat wojennych i powojennych, zasługuje jednak na to, by ją na światło dzienne wydobyć. Dzień 16 lutego 1936 roku był dniem zwycięstwa wyborczego Frontu Ludowego w Hiszpanii, był dniem, w którym burżuazyjno-demokratyczna Druga Republika hiszpańska przeistoczyła się wola większości swego narodu w Trzecią Republikę, republikę demokratyczno-ludową.

Jakże niewiele znamy prawdy o Hiszpanii tamtych tragicznych lat 1931-1939, kiedy to w gorące starcia polityczne i w konwulsjach wojny domowej decydować się miały jej losy. Prawicowa prasa przedwojenna, nie wyłączając pism katolickich, nie wywiązała się z obowiązku rzetelnego i obiektywnego informowania swojego czytelnika. Ogromny odłam prasy przedwojennej karmił swego odbiorcę jedynie niepełnymi i tendencyjnie naciągany wiadomościami, mającymi na celu zożydzić i czkawać młodą republikę, równocześnie zatajając przed opinią publiczną właściwy sens wydarzeń. Dziś z perspektywy około dwudziestu lat, nie ulega już wątpliwości, jak szkodliwa i krótkowzroczna dla nas samych była ta polityka ukrywania prawdy. Przecież to z frontów wojny domowej Hiszpanii uczynił niemiecko-włoski faszyzm olbrzymi poligon ćwiczebny dla swoich sił bojowych, zanim mógł je wypróbować w drugiej wojnie światowej na polach wszystkich krajów Europy; zaś dzieje rewolucji hiszpańskiej czymże były w istocie jak nie dziejami historycznie nieuchronnej przemiany społecznej, ku której wielkimi krokami zbliżała się również Polska. O ileż byłibyśmy mądrzejsi znając całą prawdę o Hiszpanii lat trzydziestych, ile zluźnień moglibyśmy uniknąć w późniejszym okresie, gdybyśmy przedtem mogli znać i dokładnie przeanalizować doświadczenia Hiszpanii lat trzydziestych. Olbrzymi walor instruktywny doświadczenia hiszpańskiego dla naszego kraju jest szczególnie wydatny w odniesieniu do katolików. Historia katolicyzmu hiszpańskiego w latach trzydziestych była wielką lekcją dla całego Kościoła — lekcją, która powinna otworzyć oczy i naprostować wiele błędnych dróg.

## CZY MIAŁA BYĆ DRUGA REPUBLIKA?

N AWET dla pcwierzchownego obserwatora nie mogło ulegać wątpliwości, że monarchia Bourbonów w Hiszpanii międzywojennej nie utrzyma się długo. Hiszpania Alfonsa XIII przedstawiała na tle społeczeństwa Europy zachodniej obraz przedziwnego anachronizmu, podmianowanego narastającymi przeciwieństwami wewnętrznymi.

Monarchia Alfonsa XIII przyjmowała za podstawę swojej polityki kompromis między interesami klasy feudalnej a interesami młodego kapitalizmu. Nieuniknione przeciwieństwa między tymi klasami, jak również wzrastający na siłach ruch robotniczy sprawiły, że realizacja tej polityki stawała się coraz trudniejsza, a w latach 1923-1930 skłoniła nawet króla do powołania dyktatury gen. Primo de Riverę, opartej na wzorach włoskich. Dyktatura ta przedłużyła egzystencję monarchii do najbliższego kryzysu ekonomicznego w 1930 roku, po czym załamała się. Wybory odbyte po śmierci Primo de Riverę dały w wyniku całkowitej klęskę monarchii. Na ulicach miast lud hiszpański manifestuje przeciw Bourbonom. W dniu 14 kwietnia

1931 r. zostaje proklamowane powstanie Drugiej Republiki<sup>1)</sup>, a Alfons XIII, złożony wykretnie oświadczenie o abdykacji, pozostawiając sobie niezamkniętą drogę powrotu, uchodzi za granicę.

Czego oczekiwano od nowopowstałej republiki? Niewątpliwie każde z szerokiego wachlarza uczestniczących w bloku San Sebastian stronnictw dałoby na to pytanie inną odpowiedź. Łącząc się w programie obalenia monarchii stronnictwa te różniły się w pozytywnym programie niezbędnych reform społecznych w nowej republice.

Stronnictwa mieszczańskie i drobnoniemieckie — takie jak republikańskie Azany, radykalne Lerroux, „postępowe“ czy liberalno-demokratyczne — rozumiały dokonany przewrót polityczny w zasadzie jako uzyskanie całkowitej przewagi w Hiszpanii przez mieszczaństwo nad feudalizmem, wynikiem czego miałyby być przeobrażenie Hiszpanii w burżuazyjną republikę demokratyczną o ustroju parlamentarnym i mniej lub więcej federacyjnym.

Natomiast popierające republikę stronnictwa robotnicze — cały obóz lewicy, a przede wszystkim komunistyczny — traktowały wywalczenie republiki parlamentarnej jako szczyt przebiegu; reprezentując szerokie masy ludowe żądały wprowadzenia programu reform społecznych, choć treść tego programu i jego zakres rozumiały rozmaicie; uznawały demokrację mieszczańską tylko za ostateczną dla zasadniczej przebudowy struktury społeczno-gospodarczej.

Ta dwoistość sił i koncepcji prowadzi od początku do tarć wewnątrz sił republiki. Druga Republika aż do swego końca nie będzie posiadała jednolitej koncepcji, ale będzie szła po linii kompromisu, wybierając między popularnością wobec mas ludowych a niezrażaniem sobie klas posiadających — po linii kompromisu zmieniającego się ustawicznie w zależności od aktualnego układu sił politycznych i od chwilowej przewagi poszczególnych stronnictw w koalicji.

## POLITYKA „NIEZRAŻANIA“ KLAS WROGICH

T A chwiejność i kompromisowość zaciężyła fatalnie na polityce II Republiki wobec odsuniętych od władzy, ale nie zwyciężonych i nie rezygnujących z walki klas, przede wszystkim wobec obszarników i starych aparatów państwowego monarchii. Zagadnienie polityki w stosunku do klas, którym wydarto władzę polityczną, ale którym nie wydarto zdolności do walki, stanowi jedno z kluczowych zagadnień każdej rewolucji. Istnieją tu dwa możliwe rozwiązania: jeżeli uznaje się realność zjawiska walki klasowej, trzeba przede wszystkim widzieć, że z faktu sprzeczności interesów klas pokonanych z nowym ustrojem wynika nieuniknione zaostanie ich operu, ich dążność do kontrewolucji. Stąd jedynym realnym programem rewolucji, jeżeli pragnie utrzymać zdobytą władzę, musi być nie osłabianie, ale wzmocnienie czujności klasowej i konsekwentne wypieranie klas pokonanych z ich pozycji ekonomicznych. Zgodnie z tym poglądem młoda republika winna była wykorzystywać napięcie rewolucyjne istniejące w masach ludowych, aby w oparciu o nie przełamać opór odsuniętych od władzy, ale nie pokonanych klas feudalnych i ciężących ku nim elementów reakcyjnych, obezwładnić je i rozbroić.

<sup>1)</sup> Pierwsza republika ogłoszona została w Hiszpanii w r. 1873 i utrzymała się przez 11 miesięcy, zdławiona siłami restauracji.

Jeżeli Druga Republika od początku poszła drogą wprost przeciwną, to przyczyną tego był fakt, że do rządu koalicyjnego zostali dopuszczeni tyłko socjaliści, których ideologia była obciążona silnie rewizjonizmem bernsteinowskim, zacierającym ostrość widzenia podziału klasowego i walki klasowej. W efekcie kolejne rządy Drugiej Republiki hołdują przeświadczeniu o możliwości „pokojowego“ przejścia od feudalizmu do demokracji i stosują zasadę „niezrażania“ sfer konserwatywnych. Wyraża się to hamowaniem, wbrew oczekiwaniom mas ludowych, reform społecznych oraz udzielaniem przywódcom prawicy miejsca w rządzie, co ma przyczynić się do „uspokojenia“ sfer konserwatywnych. W wyniku tej polityki rozpoczyna się zjawisko, które jeden z historyków Drugiej Republiki nazywa „regularną emigracją przebranych monarchistów do obozu republikańskiego“. Pośród takich eks-monarchistów znajdował się również Alcala Zamora, późniejszy przywódca prawicy republikańskiej („Postępowców“), który w tej atmosferze wybił się na czoło jako premier pierwszego rządu, a w kilka miesięcy później jako pierwszy prezydent nowej republiki.

Nie chcąc oprzeć się na rewolucyjnym napięciu istniejącym w masach ludowych, ale przeciwnie, usiłując je okiełznać i stłumić, rząd Drugiej Republiki musi szukać innej siły, na której mógłby się oprzeć. Tłumaczy to jego politykę wobec starego aparatu państwowego monarchii, a zwłaszcza dwu jego filarów: policji — osławionej „guardia civil“ — oraz armii.

Jeszcze w ostatnich chwilach monarchii, kiedy ważyły się losy dziedzictwa Bourbonów, ówczesny szef „guardia civil“, gen. Sanjurio, zorientowawszy się, skąd wieją wiatry i jak stoją akcje jego dostojnego monarchy, przekazuje mu swój pogląd, że ewentualne użycie oddziałów policyjnych przeciw republice byłoby „tragicznym szaleństwem, mogącym tylko zamienić Hiszpanię w kąpielisko bratniej krwi“ oraz swoją decyzję nie brania udziału „w walce przeciw narodowi hiszpańskiemu“. Równocześnie postarł się o to, by o jego decyzji dowiedział się nowopowstały rząd tymczasowy republiki. Skutki nie dają na siebie długo czekać. Już w kilka godzin później rząd republikański komunikuje się z gen. Sanjurio, prosząc go o podjęcie się utrzymania porządku. Lenin stwierdzał, że rewolucja musi zburzyć stary aparat państwowy i stworzyć nowy, własny aparat. Mieszczańsko-socjaldemokratyczny rząd Drugiej Republiki prosi monarchistyczną „guardia civil“ wraz z jej dawnym kierownictwem, aby broniła republiki przed monarchią.

Drogo kosztowała ta lekkomyślność republiki. Ten sam Sanjurio, który tak wzdrygał się wówczas przed przelewem krwi bratniej, już w następnym roku, 12 sierpnia 1932 r., podejmuje w Sewilli próbę zbrojnego zamachu stanu przeciw republice. Po udaremnieniu przewrotu Sanjurio zostaje ujęty przez władze republikańskie, osadzony i skazany na śmierć. Zostaje on jednak ulaskawiony, a następnie amnestionowany i wychodzi na wolność. W następnych latach odegra on złośliwą rolę w przygotowaniu wojny domowej, podróżując jako pełnomocnik gen. Franco do Berlina i Rzymu. Wbrew żądaniom kół robotniczych rząd nie zdobywa się na rozwiązanie „guardia civil“ i zastąpienie jej milicją ludową.

Wkrótce po wybuchu puczu frankistowskiego w roku 1936 „guardia civil“ okazała swoją „wierność“ dla republiki, przerzucając się w olbrzymiej większości na służbę faszyzmu wraz z ówczesnym swoim szefem, gen. Cabanellas, późniejszym premierem pierwszego rządu frankistowskiego w Burgos.

Podobną politykę stosowała republika również wobec armii. Dotychczasowy korpus oficerski składał się w większości z obszarników, a więc związany był sympatiami z monarchią. Mimo to jednak w obawie przed buntami wojskowymi rząd republikański utrzymał ten stan ograniczając się tylko do nieznacznych przemian personalnych.

„Republika nie oczyściła dość radykalnie aparatu państwa — niewyczerpanego źródła buntowników i wrogów ustroju — pisało lewicowo-republikańskie pismo „Diluvio“ w Barcelonie. — Pozwoliła szczerze republikańskim wojskowym wycofać się ze służby czynnej, pozostawiając koszarę oficerom monarchistycznym. W biurach policji tkwią ci sami oficerowie, tak kiedyś uwielbiani przez monarchię, większa część urzędów znajduje się w rękach zamaskowanych monarchistów.“

Ta krótkowzroczna polityka „niezrażania sobie“ żywiołów wrogich republice odbywała się kosztem reform społecznych, tak oczekiwanych przez masy ludowe. To rozczarowanie proletariatu miast i biedoty chłopskiej dyskutowali anarchiści z C.N.d.T., którzy w imię „apolityczności“ wstrzymywali się od współpracy z republiką, zachowując wrogosc wobec każdej władzy. W latach 1932 i 1933 wybuchła z inspiracji anarchistów szereg lokalnych powstań ludowych. Zmuszony do tłumienia tych powstań przy użyciu znieprawionej „guardia civil“ republikański rząd Azany — ku szczerej satysfakcji reakcjonistów — tracił coraz bardziej popularność i oparcie w masach ludowych. Polityka przywódców mieszczańsko-socjaldemokratycznych „niezrażania sobie“ wrogów klasowych wiodła republikę w ślepy zaułek bez wyjścia.

Dopiero o wiele później, gdy już na początku wojny domowej polity-

ka ta wydała gorzkie owoce, gdy zdrada wydawała faszyzmu w ręce miasto z garnizonem i garnizonem za garnizonem, wtedy dopiero dostrzeżono popełniony błąd. Przeczyna się do niego już po wybuchu puczu frankistowskiego przywódca socjalistów Largo Caballero, sam w niemałej mierze odpowiedzialny za dotychczasową politykę:

„W kwietniu 1931 roku nie zastosowaliśmy słusznych represji przeciw tym, co nami dotąd pomurlali, i uszanowaliśmy życie oraz interesy pewnych elementów, które teraz działają przeciw republice. Powiedziałem już wam, że to był błąd, a jeśli wypadki znów się powtórzą, niech nikt się nie zdziwi, że nie wykażemy tej samej pobłażliwości, którą dotychczas okazywaliście. W walkach politycznych wspomniałem, że nie jest właściwą bronią, a czasem są konieczne czynności, które chwilowo mogą wywołać odrazę, a które dopiero dalszy bieg historii może usprawiedliwić.“

Gdyby wszyscy przywódcy rewolucji hiszpańskiej od początku byli świadomi tej konieczności, zapewne Hiszpania uniknęłaby wojny domowej. Gdyby od początku przez konsekwentne rozbrajanie i obezwładnianie klas wrogich nie dopuszczali do wyrosnięcia faszyzmu, za cenę bezwzględności wobec jednostek typu Sanjurio oszczędziliby narodowi hiszpańskiemu półtora miliona poległych i rozstrzelanych, oszczędziliby interwencji faszyzmu zagranicznego i dyktatury Franco. Iluzja polityki „niezrażania sobie“ klasy pracowniczej przyniosła krwawe żniwo. Mechanika walki klasowej okazała się nieublagana: cóż z tego, że stosować będą wobec wroga klasowego „środki pokojowe“, jeżeli on nie ma zamiaru stosować ich wobec mnie? Los Hiszpanii stanowi w tym punkcie groźną przestrożkę dla każdej rewolucji, która nie decydując się natychmiast po objęciu władzy na bezwzględny postawę i pozwalając wrosnąć w siły kontrewolucji nie tylko ryzykuje swoje istnienie, ale nadto naraża kraj na wyniszczające i długotrwałe konwulsje wojny domowej.

Janusz Zabłocki

Ignacio QUEVEDO

przeł. Mikołaj BIESZCZADOWSKI

## DO POETY GARCIA LORCA

Temu, którego życie śpiewało cyganów

I nade wszystko wolność wspaniałą i bezmierną,

Wznoszę mój hymn płomienny wysoko pod nieboskłon

O Ludów łagodny śpiewaku!

Twoja męczeńska krew święta jest dla Hiszpanów

Złamane życie jego ręką wroga nienawistną

Lecz popłynęła krew na groźny posiew buntu

I przemieniła ziemię kastylską w ziemię c z e r w o n ą

Skarży się ta, którą ukochał nad wszystko — Republika.

O śpiewaku przez lud ukochany

Głoscieliu najszczytniejszej prawdy!

Głucho zaszczekała broń katów

Strasna zbrodnia spełniona przez nikczemny rasyzm

Zamordowali Garcję Lorca — poetę

Któż większą skrzył się odwagą — śpiewał dźwięczniej

Od Garcii Lorca, Cyda naszej poezji

O płaczcie, rozpaczajcie poci i cyganie

I z nami rozpaczająca żałobna matka — historia

Niech się pochyli nad śmiercią syna horacjańskiego

I wszędzie tam gdzie świeci blask ludów wielkiego braterstwa

Serca dla niego uderzą w pieśń czci i uwielbienia

By głosić triumf prawdy — ostrzeżenie dla wrogów.



Sławomir BŁAUT

# Trzy wrześnie Wojciecha Żukrowskiego

NIEMIĘLI jest chyba pisarzy no tak poplątanej, trudnej do wypunktowania drodze, jak Wojciech Żukrowski. Zawikłania te nie płyną z jakichś nierówności artystycznych, z przeplatanki dobrych i złych utworów, lecz mają one źródło w niezwykłym typie psychicznym autora „Córki”, bogatym w pomysły, ujęcia, tonacje, aspekty i wsułek tego dającym utwory wręcz do siebie niepodobne. Zazwyczaj u pisarza, który ma już za sobą kilka książek, zarysowuje się jakiś profil ewolucyjny, utwory jego wyznaczają mniej lub więcej ciągłą linię rozwojową. U Żukrowskiego jest jednak inaczej. Można wprawdzie i u niego dostrzec pewne cechy wspólne, ale książki jego nie tworzą jakiejś jednej wyraźnej kierunkowej, układają się raczej wszzer, jakby panoramicznie, otwierając coraz nowe perspektywy, nowe możliwości. Siedem lat, siedem różnych książek, z których każda była niespodzianką, zaskoczeniem dla czytelników, każda ukazywała inną stronę tego wyjątkowego zjawiska, któremu na imię: Żukrowski. Pisarz umie na tę samą rzecz spojrzeć od wręcz przeciwnych stron, zawsze potrafi dojrzeć w niej coś nowego, lub to, co nam wydaje się stare i znane, pokazać jako inaczej, na przekór nie raz wszelkim konwenansom i konformizmom. Krytycy, zawsze skłonni do uogólnień, ukuli wnet zasadę — trze ba przyznać, iż w dużej mierze słuszną — że każda z jego książek jest inna i że dalsze jego utwory przyniosą niejedną jeszcze niespodziankę.

Te uwagi przypominają się, kiedy stajemy przed nową powieścią Żukrowskiego — „Dni kłęski”. Jak każda pozycja tego pisarza, i ta książka budzi wielkie zainteresowanie, które wzrasta jeszcze, jeśli się wspomni, że kampania wrześniowa — do niej bowiem sięga pisarz w „Dniach kłęski” — posłużyła mu już wcześniej za podbudowę tematyczną dwu utworów. Pojawia się pytanie, czy przytoczona zasada potwierdzi się i tym razem? A zaraz potem przychodzi pokusa konfrontacji, po-

ównania tych wizji Września, jakie wypłynęły spod pióra tego samego pisarza, ale wizji, których powstanie przedziela wielki skok historyczny, kształtujący w sposób zasadniczy nie tylko system wartościowania, ale w ogóle całe spojrzenie na te wypadki.

Od razu wypadnie stwierdzić, że Żukrowski jest tu niby ten sam, a jednak inny... Ale by lepiej przyjrzeć się temu, na czym polega ta tożsamość i inność, musimy cofnąć się o kilka lat wstecz.

TO opowieści „Z kraju milczenia”, którym w r. 1946 debiutował Żukrowski, zdobył mu pełne uznanie i sympatię całej krytyki, a także wszystkich czytelników (przyznajmy, że w ankiecie „Odrodzenia” właśnie „Z kraju milczenia” czytelnicy uznali za najlepszą książkę pierwszych lat powojennych) niezależnie od tego, czy zgadzali się oni czy też nie z silnie manifestowaną przez pisarza postawą światopoglądową. Stało się tak dlatego, że książka ta była na owe czasy prawdziwym osiągnięciem artystycznym, że wraz z nią do literatury naszej wkroczył świetny prozaik.

Przystępując dziś do ustawienia „Z kraju milczenia” i porównania z „Dniami kłęski” wysunąć wypadnie niejedno zastrzeżenie, niejedno pounięcie pisarza opatrzyć znakiem zapytania, lecz trzeba stwierdzić, że dziś jeszcze odnaleźć tu można wartości, które zwiędzły wytrzymały próbę czasu. W znanych mi recenzjach z „Dni kłęski” tylko mimochodem, niejako aluzyjnie, potrącono o pierwszy tom prozy Żukrowskiego, patrząc na niego przez pryzmat tzw. „ulańskości”. Takie mocne kawaleryjskie objechanie „Z kraju milczenia” jest rysą na interesującym artykule Zygmunta Lichniaka, poświęconym najnowszej książce Żukrowskiego. („Dziś i jutro” nr 1 (371)). Lichniak nie dostrzegł, że „Dni kłęski” co najmniej w tym samym stopniu, co przeciwstawieniem, są kontynuacją „Z kraju milczenia”. Przedziwne wyczucie realności zmysłowej, urzekające każdego czytelnika, nie jest rewelacją „Dni kłęski”, ale stanowi podstawowe znamię artysty „Z kra-

ju milczenia”. Pełnia wrażeń, która tak pasjonuje Lichniaka w „Dniach kłęski”, zachwycała przed sześciu z górą laty pierwszych recenzentów „Z kraju milczenia”. Nie znaczy to wcale, że pisarz powtarza się, ani też, że krytyk powtarza sądy swoich poprzedników, ale te właściwości są tak charakterystyczne dla Żukrowskiego od pierwszej jego książki, że nie sposób pominąć tego milczenia. „Z kraju milczenia” to książka optymistyczna, ale czy optymizm jej zasadza się jedynie na ulańskiej krzepie i biologicznym wigorze? Przyznać trzeba, że nurt biologiczny w życiu bohaterów Żukrowskiego jest bardzo silny i tego nie możemy lekceważyć, ale takie pojmowanie sprawy jest dużym uproszczeniem, krzywdzącym i książkę i pisarza.

Tom Żukrowskiego, w którym dwa — najlepsze zresztą — opowiadania reprezentują tematykę wrześniową, przyczyn kłęski nie wyjaśnił, oceny jej nie dawał. Dlaczego tak było, to jest dzisiaj już dla nas faktem przerysowanym w swym historycznym uwarunkowaniu. Na to, by dać prawidłową ocenę Września w tym czasie (większość opowiadań Żukrowskiego powstała w czasie okupacji) trzeba było pisarza o wyjątkowo przenikliwym zmyśle politycznym i politycznym zaangażowaniem. Takim pisarzem młody Żukrowski wówczas nie był. Chętnie się zestawia „Dni kłęski” z „Wrześniem” Putramenta, toteż nie od rzeczy będzie przypomnieć jego opowiadanie wrześniowe. „Ten i tamten brzeg mostu” z tomu „Święta kula”, wydanego w tymże co i „Z kraju milczenia” roku 1946. Putrament to pisarz o temperamencie par excellence politycznym (por. wydaną w rok później powieść „Rzeczywistość”), który uświadomił się i we wspomnianym utworze, ale trzeba było dobrych kilku lat, by to wszystko, czego zapowiedział było to opowiadanie w oparciu o nowe doświadczenia i przemyslenia dojrzało w wielki epos. Ta analogia może w części tłumaczyć, dlaczego Żukrowski nie napisał „Dni kłęski” w 1946 r. czy

też wcześniej, lecz dopiero w 1951. Perspektywa czasowa to konieczny warunek tych ustaleń, na których wyrastały powieści Żukrowskiego i Putramenta. Czas pozwala pisarzowi wprowadzić korektę w osobiste przeżycia uczestnika wrześniowej kampanii, odnaleźć w nich prawdę historyczną, wypuklić cały splot społeczny i politycznych powiązań, które zrodziły kłęskę. O tym wszystkim musimy pamiętać, chcąc wymierzyć sprawiedliwość trzem wrześniom Wojciecha Żukrowskiego.

NAJPIERW „Lotna”. Wrzesień, ten „miesiąc rudy od liści i krwi” mieni się tu wielością barw i blasków żołnierskiego życia. Bohaterowi zapachniało wojenką i jej wszystkimi urokami, nagle otworzyła się przed nim nęcąca możliwość zrealizowania młodzieńczych marzeń i wielkiej przygody. Jakże znamiennych wrażeń doznaje on pędząc na czele szarżujących ułanów: „*Ręka ścisnąca szabłą zwilgotniała. Wysoki gward kuli nad hełmem przydawał tylko piękna temu lotowi ponad jesienno-pole, ledwie powleczonego szklanym blaskiem wstającego słońca. Twarz mi stygła od bolesnego zachwytu. Nie żałowałem mego. Cóż młodość, miłość, gdy miałem noża, dwa pełne zapachu konia, wystrzałów i krwi gorącej, którą za chwilę rozleję*”. W tym wynurzeniu zawiera się ekstrakt tej „ulańskości”, która przejawiając się z różną siłą we wszystkich opowiadaniach zbioru, w świecie „Lotnej” jest tonem zasadniczym. Wysoki stopień emocjonalnego nasyżenia, przenikającego tu niemal każde zdanie, niespokojne wybieganie naprzeciw nieznanemu, lecz przez to tym bardziej podniecającym wydarzeniom, radosne upojenie się skłębioną wielością narastających w błyskawicznym tempie doznań i wrażeń, niezwykle intensywne przeżywanie chwili, tego, co jest właśnie teraz, a co wkrótce bezpowrotnie przeminie — wszystko to rysuje niezbyt skomplikowaną psychikę przeżywającego podmiotu, wprowadza nas w klimat przedstawionego świata i wreszcie wydobywa znamienne dyspozycje pisarza. Jest tu i żywiołowa brawura, i zawodniackie ryzykowność, co przy namyślnym przywiązaniu do ziemskości staje się emocjonującą grą z losem, grą o stawkę bardzo wysoką, szawkę, której raz utraciwszy odzyskać już nie można — o własne, gorące umiłowane życie. Choć w tym przekornym hazardzie jest coś z życiowej prawdy, musi on jednak zaniepokoić. Bo przecież ziemskie życie dane nam jest nie po to, by bez zastanowienia igrać nim z losem. A zastanawiać się bohaterowie Żukrowskiego na ogół nie lubią. Nim zjawia się refleksja, pódją za dorazną podniecią, impulsem. I dla katolika nie to było niepokojące — jak próbował ktoś sugerować — że książka Żukrowskiego głosiła gorące przywiązanie do spraw doczesnego świata. Afirmacja życia ziemskiego — które nie jest przecież *male necessarium*, lecz stanowi zasadniczy moment w naszej drodze ku wieczności — to podstawowe założenie personalistycznej koncepcji człowieka, życia doczesnego nie możemy odrzucić, chodzi więc o to, by je jak najlepiej przeżyć. Ale Żukrowski bardzo mocno zarysował jako siły decydujące o postępowaniu człowieka te elementy życia biologicznego, które w człowieku — istocie rozumnej noddane być muszą porządkującej roli władz umysłowych. Takie usunięcie wartości intelektualnych w cień, rzucany przez złudne uroki życia zmysłowego, to zakłócenie przyjętego przez katolickim systemem wartościowania. „Lotna”, choć jest opowiadaniem doskonałym, wręcz porywającym napisanym, przez swój minimalizm humanistyczny i estetyzm bardziej jest pomni-

kiem nagrobnym odchodzącego świata niż przekazem, choćby fragmentarycznym, historycznej prawdy o tragicznych dniach kłęski.

Wrzesień „Lotnej” to młodzieńcza fantazja i radość przeżywania wielkiej przygody, szalencze szarże kawalerii, beztroskie zabawy, przelotne flirty, libacje. Wszystko to wyrasta ponad świadomość wielkiej przegranej.

CAŁY ten świat mamy i w drugim opowiadaniu — „Przed furką”, ale tu nie jest on ostatnim słowem pisarza. Postać ojca Pawła, podobnie jak (dla rozszerzenia materiału dokumentacyjnego sięgnijmy i do innych opowiadań zbioru) książkę Czesław z „Kantaty”, czy więźnia Janek z „Przebiegu” — otwiera przed światem przedstawionym perspektywy metafizyczne, wnosi weń silny akcent moralny. Ma to swoją wymowę, że w starciu dwu kontrastowych postaw życiowych, reprezentowanych przez dwie — jakże dla Żukrowskiego charakterystyczne postaci: rotmistrza Sołtana i ojca Pawła, zarozumiałość i hedonizm rotmistrza ustępują niespodziewanie tym wartościom, o które walczy ojciec Paweł. Ten cichy zakonnik ma w sobie miłość i pokorę, przeżył apostolską żarliwość, pasją służenia drugim, zdolny jest do bezgranicznego poświęcenia. To święty. Ale wszystkie te przymioty są w nim ustalone raz na zawsze, tak, że nie podlega on żadnym wewnętrznym konfliktom, nie musi przełamać w sobie tych oporów, jakie na drodze do całkowitego samozaparcia się i oddania się drugim powstać muszą w każdym człowieku. Dlatego — postać to o tyle piękna ile nierzezywalista. To postać — symbol. Ojciec Paweł — podobnie jak książka Czesław czy więzień Janek — to wyraz protestu przeciw czasem pogardy niosącym każdemu człowiekowi zagładę i upodlenie. Czasy te były próbą człowieczeństwa; próba ta u Żukrowskiego kończy się zwycięstwem, ale zwycięstwem zazwyczaj okupionym śmiercią. Jego bohaterowie czynem stwierdzają słusność obranej drogi, życiem okupują wierność wobec przyjętych zasad. Ale to, że ginie ojciec Paweł, książka Czesław, czy więzień Janek — pozwala pisarzowi z mroków Września i okupacji ocenić wiarę w człowieka i moralny sens jego istnienia.

Wrzesień w „Przed furką” to znów jak i w „Lotnej” dotykany niemal ogląd światnie uchwyconych realiów. Ale nie tylko to, zjawia się tu bowiem plan głębszy. W wartki nurt życia biologicznego autor wpisuje sprawy o najwyższej randze moralnej jak bohaterstwo i obowiązek, wierność i poświęcenie. Bezgraniczny heroizm ojca Pawła — zwycięstwo moralne jednostki — łagodzi gorzkie kłęski.

TAK więc, chociaż tematyka wrześniowa nie jest u Żukrowskiego czymś nowym, do sedna zagadnień, jakie stawia ona przed pisarzem, próbuje dotrzeć w swej nowej książce po raz pierwszy. „Dni kłęski” wprowadzają nas w świat inny, bo inna rządzi w nim zasada porządkująca, w świat — jak głosi tytuł — oznaczony stygmatem kłęski.

— *Pamię podchorąży, dlaczego tak jest — my chcemy się bić, nikt z nas krwi nie żałował, tak dobrze już szło, a teraz się wszystko przeciw nam obraca — mówią przez zaciśnięte zęby Górnicki, opuściła go niefrasobliwa wesołość. Inni słuchali ze zmarszczonymi brwiami, widać było, że pytał o imieniu gromady. — Pannie podchorąży, kto tu winien, że nas Niemcy pędzą, jak chcą?*

*Było cicho. Skrzyknęły żelazne drzwi od kuchni, koń zarżał i wróble zerwały się z ćwierkaniem. Rozstoleczone niebo razilo blaskami.*

(Dokończenie na str. 8).

## Bardzo dziwne »bajki«

MIE Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy! Gdyby ktoś (oczywiście przez małe „k”) zapytał Was (naturalnie przez duże „W”), czy znacie „Baśnie z 1001 nocy” — zapewne w 99 przypadkach na 100 odpowiedźlibyście twierdząco. Obawiam się jednak, że usłyszawszy pytanie bardziej ogólne, np. w rodzaju: jak Sobie wyobrażacie Bliski Wschód, w 89 przypadkach na 100 staralibyście się ukryć rumieniec zażenowania. Przyszłoby to Was bez trudu — od czegoż opanowanie odruchów! — Po chwili, hm, milczenia potok wymowy — jak kaskady górskiego strumienia — spadłby na głowę samozwańczego egzaminatora. Wiadomo — historii Starego i Nowego Testamentu uczyliście się w szkole, koloryt tych odległych krajów jest Wam znany, poza tym: faraonowie, „kobieta-sfinks”, haszysz, bakszysz, perskie dywany, irańska nafta, bakalie, rachatlukum, Arabowie, daktyle, pustynia, hańlakowanie, bisurmanie (tak, tak pan Sienkiewicz), odaliska, szarawary, kawa... Już wszystko? Prawie... koniec encyklopedycznych wiadomości.

Prawo i obowiązek „uczonych w piśmie”, przygarbionych, zdziwaczalych, brodatych i odludkowatych „mółów książkowych” studować, zglebiać, szperać, wąchać mumie (pfuj!), wydobywać z piasku wykopaliska (żabawne, coś jakby dziecięce igraszki w parkowej piaskownicy), odczytywać hieroglify (psu na budę to potrzebne), łamać sobie głowy nad odcyfrowanie pisma klinowego (średnia przyjemność), ślezczyć nad zotłalymi papirusami, weszyc po bibliotekach, muzeach, zagłębiać się w starych manuskryptach... Wolna ich wola! Nam nie po tym!

Rzecz w tym, że martwe zdawałoby się pamiątki odległego „wczoraj” żyją i w dalszym ciągu wywierają — czy chcemy, czy nie — wpływ na

naszą kulturę, na nasze życie, o Czei godzinie Wyżej Wymienieni. I to właśnie dzięki wysiłkom i żmudnej pracy tych dziwaków, szalenców, co rozmiłowali się w sprawach tak mało Wszyszym zdaniem godnych miłości, afektu!

Jeżeli do tej pory nie znienawidziście niżej podcyfrowanego (a zdytnio bym się takim rozwójowi Warszawy uczuć nie dziwił), chętnie odpowiem na Wasze pytanie: owa „ucze ni w piśmie” cóż czynią? jak czynią?

Nie jestem jednym z nich, ledwie miałem sposobność liźnąć nieco orientalistyki u nieodżałowanego człowieka i uczonego, prof. Tadeusza Kowalskiego. Bodajże jednak podparzyłem ich zwyczajnie i metodę pracy. Obok na 102 wygimnastykowanego umysłu i ef, ef wiedzy — posługują się ci sportowcy z „klubu” orientalistów bibliotekami w nieco szerszym zakresie, aniżeli zwykli zjadacze pieczywa. Władają przeważnie kilkunastoma — oprócz przez nas uznanych — językami. Poza tym mają niezwykle wyczulony zmysł węchu. Niejeden raczy ogar lub wyżel legawy mógłby im pozazdrościć nosa. Jakież bo nosy oni mają! Cud techniki! Czują na setki kilometrów „białe kruki” w bibliotekach, księgozbiorach i muzeach, weszą po siadach nieraz całe lata, chwytają się nitki, by nieomylnie trafić w takie odrywy, że palce lizają!

Moglibyście i Wy, Wyżej Uczczeni, zaznać nieco z tych rozkoszy, gdy byście tylko odważyli się mnie zaufać...

Nie! Nie ufajcie! Bądźcie sceptykami, niedowiarkami i spróbujcie przekonać się, doświadczycy, czyli Was oślepnę. Pojawia się bardzo piękna książka o manuskryptach i ludzich, ludzich i manuskryptach. O miłości ludzi do rekopisów, o wynikłych stąd węzłach przyjaźni i mi-

łości ludzi do ludzi. O uczuciach nie chwilowych, lecz zakrojonych na romantyczną skalę: dziesiątków lat, ponad przetrzeń i czas, do grobu... Kwitną tam cudowne kwiaty pobratania się ludzi kolorowych z białymi (i odwrotnie). Pył starożytności im nie przeszkadzał — łączył. Przez wczoraj kiadł most do dzisiaj.

Światowej sławy uczoney napisał książkę, której klimat przypomina mi „Księgę o ludziach i zwierzętach”. Klimat to klarowny, niczym wystale wino. Treść: bardzo dziwne „bajki”. Czytać? Bardzo warto! Nie to, że sprawy tam opisane były Wam dotąd bardzo odległe (może nie przezuwane) — przestaną. Wiele będzie trzeba sobie doświadczyć. Wiele wymienionych przez autora przedwznych nazwisk uleci z pamięci. Ale chociażby jednym rezultatem przewertowania tej książki było stwierdzenie, że można połączyć wiedzę z nozeją (jak to podkreślił znakomity tłumacz tej książki) — dla samego tego trud się oplaci.

Wyreczając Was, słów kilkoro skieruję k'wydawcy. Opaska na okładce wręcz powściągliwa. Korekta dbała — spozrzegłem dwa tylko psikusy drukarskiego chochlika. Papier znośny, choć gdzie niedzie przebijają druk ze strony odwrotnej. Ale spójrzcie na stronę 115. Mecie? — Czyż nie wolelibyście, o Czytelnicy, przed kartą tytułową zobaczyć ten właśnie portret ze strony 115? Odpowiedzcie sobie w duchu: czy tej twarzy nie musi się zaufa? Musi. — Więc czytając książkę. Zaś no przeczytaniu odpuście mi sposób, w jaki starałem się Was rozruszać i zachęcić.

Ktoś

\* Ignacy Kraczkowski: *Nad arabskimi rekopisami*. Kartki ze wspomnień o księgach i ludziach. Przełożył oraz wstępem i przypisami opatrzył Ananiasz Zajackowski. Wyd. Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Warszawa 1952, str. 350.



Krzysztof Bernard CABAN

# TRZYSTA LAT KALISKIEGO RUBENSA

Z WIEDZAJĄC niedawno w towarzystwie studentów Akademii Sztuk Plastycznych dwie wielkie galerie arcydzieł malarstwa w Muzeum Narodowym: Galerię Sztuki Polskiej i Galerię Sztuki Obcej, uczestniczyłem w interesującej dyskusji na temat bezcennej wartości obrazów, eksponatów sztuki malarzkiej minionych wieków. Dyskusja była o tyle ciekawsza, że dotyczyła właściwie obrazów, których zabrakło na tej jedynej w Polsce wystawie. Bo nie wolno nam zapominać, że wiele arcydzieł zaginęło w czasie ostatniej wojny, lub zostało zrabowane i wywiezione przez hitlerowców.

W 50 salach Muzeum Narodowego wystawionych zostało 800 obrazów, streszczających całą historię malarstwa od wczesnego gotyku aż do czasów najnowszych. Wojna pozabawiła nas około setki wspaniałych dzieł pędzla takich malarzy, jak: Matejko, Chelmoński, Gierymski, Wyspiański, Rodakowski, Bacciarelli i Rubens. Właśnie ten ostatni był motywem przewodnim naszej dyskusji...

Zaginione arcydzieło Rubensa stanowią szkice, zatytułowane: „Chrystus upadający pod krzyżem”. Uparte poszukiwania, prowadzone przede wszystkim na terenach Niemiec zachodnich, mimo trudności i przeszkód stawianych przez okupacyjne władze anglo-amerykańskie, uwieńczone zostały odkryciem szeregu dzieł sztuki z polskich zbiorów, jednak obrazu Rubensa nie udało się dotąd odnaleźć. Przy tym stanie rzeczy jedynym autentycznym Rubensem w kraju jest słynny już obecnie obraz „Zdjęcie z krzyża”, znajdujący się w głównym ołtarzu kościoła św. Mikołaja w Kaliszu.

## Z ANTWERPII DO KALISZA

KALISZ, stary gród nad Prosną, o którym pisał już Ptolemeusz w II w. po Chr. nazywając go „Calissi” a rzekę „Prona”, przez który wiodł słynny „szlak bursztynowy” z Południa do wybrzeży Bałtyku, jest od przeszło trzech stuleci szczęśliwym posiadaczem bezcennego dzieła Rubensa „Zdjęcie Chrystusa z krzyża”. Historia kaliskiego Rubensa jest niezwykle ciekawa, a jego dzieje na przestrzeni długiego okresu — w którym obraz przechodził różne koleje losu i przetrwał szczęśliwie wiele ciosów wymierzonych wprost w jego egzystencję — opromieniły barwne, pełne uroku legendy.

Najstarszym dokumentem, w którym znajduje się źródłowa wzmianka o kaliskim Rubensie, jest przechowywany w archiwum kościoła św. Mikołaja w Kaliszu łaciński tekst zatytułowany: „Visitatio Stanisłai Zychowicz expedita A. D. 1639”. Ten opis wizytacji kościoła, dokonanej na polecenie archidiecepny gnieźnieńskiego przez archidiecepna kaliskiego ks. Stanisława Zychowicza, pozostawił nam pierwszą wiarygodną informację dotyczącą sprowadzenia obrazu. Streszcza się ona w słowach:

„Główny obraz przedstawia zdjęcie z krzyża Pana naszego Jezusa Chrystusa, wykonany w Antwerpii przez sławnego malarza Rubensa (a celebri picture Rubens), przywieziony i ofiarowany został kościołowi temu przez Piotra Żeromskiego, kucharza królewskiego i starostę bydgoskiego...”

Sprowadzenie obrazu Rubensa do Kalisza wiąże się ściśle z historycznymi wydarzeniami pierwszych lat XVII w. Kiedy po klęsce cecorskiej wojska sultana tureckiego zagroziły Polsce, Zygmunt III począł spieszyć szukać sprzymierzeńców do wspólnej obrony. Był to okres tarć religijnych, gdy luność Europy

dzieliła się na dwa wrogie obozy — katolików i protestantów. Ponieważ Zygmunt III opowiedział się wyraźnie po stronie katolicyzmu, przeto i sojuszników w wojnie przeciw Turcji szukać mógł tylko na dworach władców katolickich.

Do Holandii, a właściwie do południowej części tego kraju, pozostającej jeszcze pod rządami namiestników katolickiej Hiszpanii, wysłany został w poselstwie od króla Piotr Żeromski, syn kaliskiego pisarza ziemskiego. Był to światły i wykształcony człowiek, który już parokrotnie w różnych misjach dyplomatycznych wyjeżdżał za granicę. Posyłając Żeromskiego do Holandii na dwór arcyksięcia Albrechta austriackiego, hiszpańskiego namiestnika, ożenionego z córką Filipa II, Izabellą — Zygmunt III spodziewał się uzyskać znaczniejszą pomoc, jeśli już nie militarną, to przynajmniej finansową. Nadzieje jego okazały się jednak płonne, gdyż Albrecht nie był w stanie spełnić życzeń Zygmunta. Zachwiana władza hiszpańska waliła się w Holandii w gruzy; północna część kraju zdołała wywalczyć niepodległość, a południowa po rabunkowych rządach Filipa II i okrucieństwach księcia Alby zmieniła się w kraj ruin i skrajnej nędzy.

Do Antwerpii przybył Żeromski w grudniu 1620 r. Spodziewanej pomocy nie uzyskał, zapoznał się jednak niespodziewanie z Piotrem Pawłem Rubensem, nadwornym malarzem namiestniczej pary. Zaproszony przez sławnego już wówczas mistrza do jego pałacyku — Żeromski spędził tam święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Rubens znajdował się właśnie u szczytu swej kariery artystycznej. Ten prawdziwy tytan pracy przy swoim genialnym talencie był niezwykle płodny i potrafił w ciągu kilkunastu dni wykonać dużych rozmiarów obraz do kościoła. W salach pałacu Rubensa znajdowało się zawsze kilka gotowych płócien, przygotowanych na sprzedaż. Żeromski wybrał dla siebie „Zdjęcie z krzyża”, którego niezwykle piękno podbiło go i oczarowało.

Ten fakt wyboru płótna właśnie o tematyce wybitnie religijnej świadczył, że starosta bydgoski przeznaczył go już wówczas dla najstarszego kościoła kaliskiego pod wezwaniem św. Mikołaja, zwanego powszechnie kanonickim od zakonu kanoników laterańskich, osiadłych tam w połowie w. XIV.

Piotr Żeromski zmarł w marcu 1633 r. podczas uroczystości koronacyjnych Władysława IV, a przywiezione z Antwerpii dzieło Rubensa zdobyło wnętrze kaliskiej świątyni.

Mijały lata. Rodziły się i dojrzewały nowe generacje. Przed obrazem przesuwały się tysiące wiernych, podziwiając niezwykle piękno zaklęte w barwy i kształty. Nikogo jednak nie obchodziło, czym dziełem jest „Zdjęcie z krzyża”, nie interesowano się jego twórcą, a nazwisko Rubensa nie było znane przeciętnemu mieszczuchowi. Dla ogółu modlących się wiernych wystarczało w zupełności, że obraz jest piękny, że przemawia do serc i wyobraźni patrzących.

Z biegiem czasu zapomniano zupełnie o arcydziele Rubensa. Pełen świetności obraz poczerpnął od kurzu i kopcia świec, wystąpiły na nim pierwsze ślady zniszczenia. Powszechna ignorancja społeczeństwa w dziedzinie sztuki, brak smaku i poczucia artystycznego — które obudzi dopiero później wiek polskiego Oświecenia

— a ponadto gospodarczy upadek Kalisza oraz jego oddalenie od stolicy, gdzie przy dworze królewskim ogniskowało się centrum życia kulturalnego kraju, wszystko to spowodowało, że aż do końca w. XVIII nie wiadano w Polsce o kaliskim Rubensie.

Nie wiedział o nim nawet Stanisław August Poniatowski, ostatni władca na walącym się tronie polskim, miłośnik sztuki, który ściągnął do Warszawy szereg słynnych malarzy, jak Bacciarelli, Walla, Smuglewicza, a młodych artystów pol-

pieczeństwa dla kaliskiego zabytku. Wśród obcych dostojników, przybywających do Kalisza, budzą się niebezpieczne żądze i chciwe apetyty zaborcze. Obywatele kaliskiego grodu, mocno przywiązani do obrazu, w dodatku z obudzonym teraz odczuciem bezcennej jego wartości, muszą pilnie strzec swojego skarbu.

Nie jest to sprawą łatwą, bo właśnie przez miasto przewalają się armie napoleońskie. Marszałek Ludwik Davoust, książę Auerstaedt, w dniu 28 lipca 1808 r. tak był olniowy dziełem Rubensa, że stanowczo uparł się, aby obraz przewieźć do Paryża. Prefekt Garczyński zdołał mu jednak wytknąć, że z przewiezieniem Rubensa należy poczekać do ostatecznego zwycięstwa Napoleona, gdyż wcześniej zabranie obrazu mogłoby odwrócić od Francji sympatie katolickiego społeczeństwa polskiego.

Jeszcze większe niebezpieczeństwo zagrażało obrazowi, kiedy do Kalisza przybył Napoleon w czasie pochodu na Moskwę. Kazał on spakować obraz i chciał go zabrać ze sobą. Wtedy wierzono jeszcze w gwiazdę na poleońską i sympatie narodu polskiego pozbawionego przez zaborców wolności były po stronie cesarza, jednak nawet dla takiego gościa Kalisz nie zrobił podarunku ze swego drogiego zabytku. Ówczesny burmistrz użył grzeźnego podstępów i wytłumaczył cesarzowi, że wygodniej i bezpieczniej będzie, jeżeli zabierze Rubensa w drodze powrotnej. Po klęsce w Rosji Napoleon wracał innym szlakiem i już w innych okolicznościach — tak więc „Zdjęcie z krzyża” pozostało nadal w Kaliszu.

Czy tak było istotnie — trudno jest dziś ustalić. Nie dochowały się bowiem żadne wzmianki o pobycie Napoleona w Kaliszu. Być może, że ządrosni o swój skarb obywatele kaliscy pomieszczyli tu imiona braci Bonaparte, gdyż w styczniu 1807 r. przebywał w Kaliszu brat cesarza, Hieronim Bonaparte, król westfalski. On także miał apetyt na Rubensa, ale nie z tego nie wyszło.

W czasie okupacji hitlerowskiej „Zdjęcie z krzyża” usiłowali zabrać Niemcy. Nie udało im się to jednak, a obraz, ukryty w podziemiach kościoła, bezpiecznie przetrwał lata hitlerowskiej władzy.

## JAK MEJBAUM „POPRAWIAŁ” RUBENSA

OPAKANY stan obrazu zaniepokoił wreszcie wiernych kaliskiego grodu i w r. 1843 przystąpiono do restauracji płótna. Trudnego dzieła podjęli się dwaj obywatele Kalisza: Michał Chylewski, major komendy inwalidzkiej oraz Karol Mejbaum, nauczyciel rysunków, zięć warszawskiego malarza Blanka.

Pracę rozdzielono w ten sposób, że Chylewski zajął się oczyszczeniem obrazu i całą stroną techniczną, zaś Mejbaum miał odtworzyć pierwotny, zatracony w ciągu dwóch wieków koloryt. O ile pierwszy wywiązał się ze swego zadania doskonale, o tyle drugi zeszczył obraz przemalowując go prawie zupełnie. Mejbaum „poprawił” Rubensa w ten sposób, że pozostawiając nieknięte jedynie twarze postaci Chrystusa, Matki Boskiej i Marii Magdaleny, resztę obrazu zamalował mieszając zupełnie odmiennych farb, dobieranych według własnego gustu.

To przemalowanie Rubensa nie spodbijało się obywatelom Kalisza i do

magali się ponownej, fachowej restauracji obrazu. Kwestia ta stała się szczególnie aktualna podczas odnawiania kościoła. Pojawiły się pierwsze wzmianki w prasie, które stały się załącznikiem szerokiej, ogólnonarodowej troski o los perły katolickich kościołów w Polsce. Równocześnie jednak dały impuls do rozpoczęcia szczegółowych badań, czy „Zdjęcie z krzyża” jest rzeczywiście autentycznym dziełem flamandzkiego mistrza. Powstał problem: Rubens, czy tylko udana kopia Rubensa?

## POWRÓT DO DAWNEJ ŚWIETNOŚCI

OSTATECZNEGO rozwiązania problemu autentyczności kaliskiego Rubensa, jak również sprawy jego fachowej restauracji podjął się w r. 1906 ks. prałat Sobczyński, proboszcz kościoła św. Mikołaja. Dysponując bogatym materiałem dowodowym i dokumentami o fundatorze i twórcy obrazu, ks. Sobczyński zwrócił się z prośbą o pomoc do profesora historii sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim, Jerzego Mycielskiego, najwybitniejszego wówczas w Polsce znawcy malarstwa flamandzkiego.

Po długich i drobiazgowych badaniach prof. Mycielski orzekł, że obraz z całą pewnością jest dziełem Rubensa. Spostrzeżenia swe przedstawił w referacie pt. „Pierwszy obraz Rubensa w Polsce”, drukowanym w językach polskim i francuskim.

Prof. Mycielski nie poprzestął na własnych dociekania naukowych, ale zasięgał rady najlepszych znawców malarstwa za granicą, m.in. słynnego badacza dzieł Rubensa, prof. Maxa Rooses. Wszyscy oni potwierdzili autentyczność kaliskiego arcydzieła. Ponadto prof. Mycielski wybrał się do Francji i Belgii, aby w Arras i w Antwerpii przestudiować znajdujące się tam obrazy Rubensa na ten sam temat „Zdjęcie z krzyża” i porównać je z kaliskim. Największe podobieństwo wykazuje obraz Rubensa przechowywany w Antwerpii w Muzeum „Le Christ a la paille”. Obraz w Arras natomiast jest kopią dzieła kaliskiego, wykonaną przez uczniów Rubensa. To samo potwierdził prof. Max Rooses.

Pozostała jeszcze ostatnia, równie ważna rzecz — gruntowna i fachowa restauracja kaliskiego zabytku. Prof. Mycielski omówił tę sprawę ze słynnym berlińskim konserwatorem Hauserem, jednak ks. Sobczyński sprzeciwił się wysłaniu obrazu za granicę. Obawiał się, że dzieło Rubensa może wcale nie wrócić do Kalisza.

Dopiero w latach 1921 — 22 zrealizowane zostało marzenie wszystkich miłośników obrazu. Restaurację bezcennego dzieła zajął się prof. Rutkowski, kierownik pracowni konserwatorskiej przy Muzeum Wielkopolskim w Poznaniu, wybitny fachowiec. (Prof. Rutkowski przeprowadził m.in. restaurację słynącego łaskami Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej na Jasnej Górze) W ciągu dwu lat trudnej i żmudnej pracy zdołał on usunąć zamalowania Mejbauma z 1843 r., naprawić uszkodzenia i pokryć obraz barwami dostosowanymi do oryginału. Podmalowań dokonał prof. Rutkowski tylko w tych miejscach, gdzie ślady pracy Rubensa zostały zniszczone przez czas i poprzednią niefortunną restaurację.

Dziś przepiękny obraz olniewa patrzących i jak dawniej budzi podziw i zachwyt mistyczny dla piękna zaklętego w barwy i kształty rzucone na płótno.

Krzysztof Bernard Caban





Tadeusz KORDYASZ

# UCZESTNIKOM »BENEFISU ŻYCIA«

**P**ODZIELAM opinię swoich najsurowszych admonitorów, którzy zgromili „Dziś i Jutro” za wydrukowanie mojego kondolencyjnego listu do redakcji.

Nie dlatego, że zmieniłem swoje stanowisko, ale dlatego, że zamiast rzeczowej dyskusji wywołało to tylko krzykliwą wymianę zdań.

Sprytni Redaktorzy w niebezpieczny sposób chcieli ułatwić sobie pracę. Gdy się jednak pokazuje na arenie od razu najczystsza chustka, nie można oczekiwać niczego, poza uderzeniami rogów. Smętek pokłosa p. Lichańskiego jest przeto zasłużonym smętkiem.

I mój list był tylko okrzykiem, gniewnym odruchem, jedną z tych

pierwszych, samorzutnych reakcji, które sobie pozwalamy uzewnętrznić wobec bliskich osób. (Autor „Benefisu” pierwszy, bez świadków, doświadczył jej na sobie). Gdybym przewidział, że słowo rzucone na gorąco, na ucho, zostanie przez Ze społ roztrąbione drukiem, opatrzyłbym je komentarzami. Uzasadnionym racjonalnie swój emocjonalny sąd, dzięki czemu „Dziś i Jutro” zyskałoby kolumnę druku na ciekawsze rozprawy.

Czy można odmówić racji pewnej adoratorce „Benefisu”, która z ogromną przenikliwością stwierdza, że w moim liście nie ma żadnych argumentów, popierających awersję autora „Zakonu Miłości” do „Benefisu Życia”? Która, będąc tak zbudowana, tak podniesiona na duchu tymże „Benefisem”, w zamęcie myślowym podejrzewa, iż: „ci panowie się nie lubią i dlatego jeden drugiemu wymyśla”? Skąd mogła wiedzieć, że pan Gerard jest największym w Polsce entuzjastą mojej prozy, że „Zakonowi Miłości” publicznie składał niesamowite hołdy i że ja czuję do jego osoby sympatię zbyt żywą jak na taką różnicę poglądów przystało? Skąd mogła się domyślić, że mój list ilustruje znane: „amicus Plato, sed...” etc.?

Nie, mości Przekora, nie uderzę się w pierś za napisanie listu, który dla pani Jabłonowskiej jest tylko wyrazem złości. Pochebia mi to, że znalazłem się na czele przytłaczającej większości czytelników znakomitego pisma, na których oryginalne wino z „Benefisu” podziało jak wywar z korzenia kopernika. Cieszy mnie, że stałem się mimowolnie wybredną trąbką, która wyzwoliła vox populi christianii.

Pan Lichański z przebiegłością Odyseusza ukrył swą, wcale niemierną, postać w Pospęnej Głosie, tak że nie wiemy, co sądzić o jego sądach. Postawił on przynajmniej status questionis: „Otwarta pozostaje nadal sprawa obywatelstwa w literaturze katolickiej motywu Chrystusa-Dionizosa, jak również sprawa artystycznego rozwijania tego motywu przez Gerarda”.

Status questionis jest dobry i klarownie. Komentarz do komentarza? Jakimiś, ale Lichański wyświadczył nim Gerardowi niedźwiedzia przysługę. Nie nie pomaga autorytet Staffa, chociaż to, co zrobił Staff w wierszu „Pod Krzyżem”, a to, czego dokonał Gerard w „Benefisie Życia” nie pokrywa się ze sobą.

Obraz przymierza Dionizosa z Chrystusem, wygrany śmiało strofą autora „Słów o potędze”, może być w osobistym, symbolicznym ujęciu, interpretowany poprawnie, ale ten obraz będzie dla przeciwnego katolika nieprzekonywający, nawet świętokradzki. Krzyż bowiem dla wszystkich chrześcijan jest wieczną wartością, znakiem łaski i zbawienia tylko dlatego, że uswięciło go na zawsze Ciało Boga i nie trzymał dotąd od nas przywileju oderwania tego Ciała od krzyża żaden bożek pogański. Grzechy ludzkie będą mocno przygważdzać to Ciało do krzyża przez cały ciąg historii ludzkiej, aż po dzień ostateczny, aż do chwili, w której zasługi ostatniego świętego nie uwolnią Go z okrutnych pęt. W poetyckim symbolizmie może u sprawiedliwiona u Staffa wymiana na liście winogrodu Cierniowej Korony, przedmiotu czci i adoracji wiernych, nabiera w świetle realizmu mistycznego cech gestu tak niefortunnego, jak zamiana w rękach Chrystusa w obrazie „Ecce homo” blażeńskiej trzcinicy na dionizyjski tyrs.

Ale p. Gerard nie dokonał bynajmniej tego, co pozwoliła Staffowi dokonać licentia poetica. On skowrzył mitycznego Dionizosa (bo Ten, Którego „śmiech wzbijał ich w górę, potężniejszą w kręgu odurzenia”, przypomina wyłącznie Dionizosa) z konkretnym faktem ewangelicznym, wprowadził Dionizosa, wprawdzie w czapce niewidce, na gody w Kanie Gallejskiej, sfalszowane, mimo surrealistycznych deformacji, mgielek i pedrygów, w sposób często aż do obrzydliwości naturalistyczny. On obdarzył swoje go bożka Chrystusowym, znanym nam wszystkim katolikom, jako jedynym w historii prawdziwym, cudem przemiany wody w wino, o którym św. Jan Apostoł pisze: „Taki to początek cudów uczynił Jezus w Kanie Gallejskiej i okazał chwałę swoją i uwierzyli w Niego uczniowie Jego”. Te słowa naczynego świadka podają nam również motywy cudu, spełnionego dzięki wstawianictwu Najświętszej Panny oraz jego skutki. Że chodzi Gerardowi o Gody w Kanie, widać z analizy tekstu (ewangelicznego realia: stągwie kamienne, goso-

darz wesela, hosanna na wysokościach itd.). Nawet ubezpieczona mądrym bratem pani Jabłonowska nas poucza, jakie to miały być gody: „Dobrze się stało, że uczyła weselną wypadła w greckim czy rzymskim stylu, bo taki wtedy panował i pewno gody tak właśnie urządza, bo wszyscy się do ówczesnej mody chętnie stosowali”. W tej wzruszającej apologii tyle jest prawdy, co w całym gerardowskim utworze.

Wiemy przecież doskonale, że Żydzi w Palestynie podczas rzymskiej okupacji z najwyższym wstrętem odnosili się do wszystkich naleciałości pogańskich i to we wszelkich przejawach życia, że strzegli aż do przesady tradycyjnej czystości obrzędów, do których i uczy weselne należały, a tym bardziej ortodoksyjni Żydzi z zapadłej prowincji. Wiemy z Ewangelii, że na ucztę w Kanie była obecna Matka Boża z uczniami Chrystusa i to nie tylko na samym początku uczy (por. Jan, 2, 10). Dość dobrze zaś ugruntowana tradycja utrzymuje, że nowożeńcami byli bliscy krewni Niepokalanej, ludzie prości i pobożni.

Cóż więc wspólne mają z katolickim realizmem te gerardowskie gody? Trzeba dzisiaj aż nadto pobłażliwej fantazji, aby „Benefis Życia” traktować jako surrealistyczny poemat i co więcej, z tego właśnie tytułu rozgrzeszać jego usterki.

Gdybyśmy znów na siłę, korzystając z wyjątkowej metności utworu, w Nieobecny rozpoznali Chrystusa (co było, jak podejrzewam, intencją autora), a samą ucztę weselną odszukali w jakimś shellenizowanym, schyłkowym dworze w Rzymie, „Benefis” nie na tym nie zyska. Przeciwnie. Ciągłe bowiem ten sam, historyczny Chrystus, zadokumentowany swoim cudem, jak podpisem, będzie się nie tyle bratał, co pozował na Dionizosa i to nie na płaszczyźnie symbolu, lecz na tle bardzo szczegółowo opisanego biblij, w oparach seksualno-pijackich.

Proszę więc nam nie hajdurzyć, panie Przekora, o jakieś „piękne syntezie hellenistycznego ubóstwienia życia z metafizyką chrześcijańską”, bo ten „śmiały, odkrywczy utwor”, ta „świeciana nowela” nie wspólnego z chrześcijańską metafizyką nie ma, a my nie jesteśmy w ciemni bici. Chy-

ba, że za chrześcijańską metafizykę każe nam pan uznać rozważania Anny (D. i J. Nr 48, str. 6) na temat tego, „co było pod dziewem wiadomości dobrego i złego”. Można znaleźć w tych rozważaniach pokutującą jeszcze wśród zaściankowej, katolickiej kulturerii, interpretację grzechu pierworodnego w zupełnie już niestrainnym wydaniu gerardowskiego egipcjanina.

Tak więc, nawet zakładając, że motywu Chrystusa-Dionizosa zyskałoby w katolickiej literaturze, p. Gerard motyw tak rozpaczliwie kładzie swoją, w założeniu błędną, niekatolicką, nierzeczową, a w swej zuchwałości wprost bluźnierczą koncepcję.

Czy jednak motyw „Chrystus-Dionizosa” ma tytuł do ubiegania się o takie prawa? Wątpię, żeby tak było.

Pan Lichański słusznie nas napomina, żebyśmy sobie wyobrażenia Dionizosa nie urabiali w czasie kontemplacji szylku baru pod Bachusem, bo „mit dionizyjski należy do najgłębszych mitów hellenistycznych”.

Świat pogański ma wiele pięknych mitów, które w sublimowanej, najczystszej formie zrealizowało jakoby chrześcijaństwo. Na freskach starożytnych chrześcijańskich oglądamy Dobrego Pasterza w postaci urodziwego młodzieńca, obok winogronowych kiści, symbolizujących Eucharystię. Skojarzenie Chrystus-Prometeusz narzucało się nieraz chrześcijańskim pisarzom. W Rzymie, w kościele Santa Maria Sopra Minerva, stoi w pobliżu Tabernaculum Chrystusa Michała Anioła, zdumiewająco podobny do Apollina i całkiem apollinowski wygiad i gest ma jego Zbawiciel z Sądu Ostatecznego. Dotąd nikt się nie obrażał z powodu kojarzenia postaci Chrystusa z postacią Apollina (Wyspiański: „Akropolis”), występującego w religii starożytnych, jako bóg światła, stróż czystości, źródło oświaty i postępu, przewodnik muz, najwyższy prawodawca i opiekun ludzi, rozlewający wokół siebie dobro, piękno i prawdę.

Ale te powiązania, nie tracące bynajmniej bluźnierstwem, narzucają się raczej tym, których umysłowość jest tak po hellenisku sklerowaciała, tak zakorkowana wyobrażeniami świata pogańskiego, że nie może się

obyć bez czerpania zeń alegorii, a zarazem bogactwo, potęga, absolutnie jedyny, odrębny czar postaci Chrystusa i Jego Corporis Mystici ledwo ma jacyś im we mgłach, jako terra nova, ziemia jeszcze bez nazwy. Nie, Chrześcijaństwo nie potrzebuje wlekania mitów pogańskich we własny krąg ideowy, bo ten krąg aż pęka od dynamizmu, od nadmiaru wspaniałej treści, której nie wyzerpie cała ludzkość aż do końca świata. Czy, wpychając grosik do kalety bogactwa, nie robimy zeń ubogiego? Niestety, do tego większość pisarzy katolickich, za miast odwrotnej operacji, tak postępuje z chrześcijaństwem.

Postać Chrystusa nie potrzebuje żadnych podpór, dodatków, retuszów i rumieńców świata hellenistycznego. Na płacziwą śmiechotę zakrawa namaszczenie tej postaci bajkową, dionizowską radością życia. Przecież to On, On tylko, Jeden Jedyny przy niósł na ziemię całą możliwą radość i wielokrotnie powtarzał: „To wam powiedziałem, aby radość Moja była w was, a radość wasza była pełna”. (Jan. 15), przecież On — to rzeczywisty Ocean Bytu, Otchłań szczęścia i radości, wcielona w człowieka — czegoż więcej trzeba? Co można dodać do Tego, który miał prawo powiedzieć o sobie: „Ja jestem Życie”?

Tylko — że ta radość Chrystusowa, radość nasza, panie Przekora, nie płynie z ubóstwienia przez nas życia, ale z ożywienia w nas Boga. Synteza hellenistycznej radości z chrześcijańską metafizyką to już dzisiaj kompromitujący nas, przebrzmiały komunał, tym więcej, że współcześni badacze świata hellenistycznego stwierdzają: „Religia Greków nie była religią czystego piękna, niezamkniętej radości i beztróskiego ukochania życia, jak się ją zbyt lekkomyślnie kreśla”. (Parandowski, Mitologia).

Chrześcijaństwo nie tylko nie potrzebuje, aby wcielano w jego krąg ideowy mity pogańskie, ale z istotnych względów przed tymi zabiegami zdecydowanie się broni. Kojarzenie historycznej, realnej, żywej postaci Chrystusa ze zbutwiały, legendarnymi bóstwami starożytności, niesie ze sobą niebezpieczeństwo zmitologii zowania w unyślach tej postaci, czego usiłowania są niebezpieczniejszym

(Dokończenie na str. 11)

Irena WNUKOWA

## Czereśnię Zosi

**K**IEDY po raz pierwszy otworzyła drzwi, góry za oknem były niczym zimowy szlaczek biegnący po ścianach dziecięcego pokoju, a teraz słońca znów ku mnie jak i wtedy nie śmiało uśmiechnięta, niezmiennie w tym samym różowobiałym szlafroku z PDT'u i niosła talerz czereśni.

Mój Boże, chyba nie dla nas takie piękne owoce — powiesiłyby je z powrotem na cienistych drzewach, postawić w jasnym mieszkaniu szczęśliwych ludzi...

Zosia zgina się spieszenie, aby powstrzymać przez chwilę płuć, o puszcza chwiejną ręką talerz na płytę stolika i wybucha wreszcie długim, męczącym kaszlem. Tak kaszlała w naszym pierwszym dniu sanatoryjnym — czyżby pogorszenie? Ale Zosi nie dręczą podobne myśli, mimo że, wezbranych wysiłkiem, rażą, którą jest przepelniona, rozwidnia jej twarz:

— Mój przysłał paczkę! —

Dzisiaj nie potrzebuję już pytać, a skąd to przysłał, a gdzie pracuje, jaki on jest, ten, którego zawsze wspomniała zniszona nagle i jeszcze bardziej ogrzana wewnętrznym ciepłem. Widzę wyraźnie niebiesko bieloną chałupkę na przykarpackim pagórze, wiśniowy sad uciekający w dół do strumienia i jego, jej męża. Jest wyśoki, silny, może Zosię unieść w górę jedną ręką.

Czas uchwycony drobnymi czynnościami płynie przed naszymi oczami niepostrzeżenie, rośnie w miesiąca w kwartale, a my, oscylując między pokorną nadzieją i krótkimi, gaszonymi

zwątpieniem buntami, uczymy się samych siebie i swych towarzyszy.

Nie przestając pragnąć opowieści Zosi o jej życiu i prozę:

— Chodź, siądź przy moim łóżku; — w dniu, w którym przysłał po ciebie swatów, kwitły na pewno drzewa...?

I Zosię, jak już tyle razy, ogarnia zdziwienie.

— Ja nawet na zabawy nie chodziłam, do szkoły mnie matka tylko przez trzy lata stała, taka bieda, a on młodszy... i co on we mnie zobaczył...

— Zosiu, a kiedy jechaliście do ślubu...

Zosia przerywa mi ze śmiechem: — To miałam takie korale — kolczyki na palec wielkie kulki porwane z talerza — od niego dostałam sznur!

— Czekaj — trudno mi unieść się z poduszki, nie nadajęm przypięć spocynymi rękami jagód u jej szyi. Do drzwi stuka palec siostry Marty. — Zosia Kopacz do punkcji — mów służbowo siostra i już spiesz się dać z innymi nazwiskami.

Leżę wyprostowana pod kocem, za raz wizyta lekarska. Zosia dzisiaj przy punkcji zemdlala.

— U mnie bez zmian, panie doktorze, ale Zosia Kopacz, ta spod 14-ki, znów ma ropę, a była już czysta woda. Doktor Kosierzycka punktowała ją dawniej bardzo często, plukała PASEm, a teraz...

Głos doktora pełen jest spokoju i pewnością siebie:

— Zosia Kopacz przyszła do nas na wiele miesięcy przed panią, cóż, ropa...

Jego mina i gest ręki przesadzają sprawę. Uprzejmy jest dla mnie doktor, bo chwytając za kłamek jeszcze dodaje z uśmiechem: — wyjeżdżam na kurs dekortykacji, pewnie ja tym po powrocie uratujemy. Usuniemy oplotną — tłumaczy nowy termin.

Jednak nie udaje mu się wyczerować nadziei, choć słowo dekortykacja brzmi może dosyć magicznie... Nie odczytałam się zgłaszania prentensji do lekarza, nie nauczyłam się godzenia z jego wyrokiem i, jakby to miało sens chociażby „chwytania żądźla trawy”, krzyczę niby wołającą ratunku:

— Doktorze, doktorze, ja mąż 30 km. do dopchniania odmy wozit, z za padłej wioski do sanatorium przekazano, tyle wysiłku włożono w ratowanie i wszystko na nic!

Przez sekundę lekarz zdaje się być ubawiony, lecz już nie, już patrzy na mnie oczami psychologa rozumiejącego ludzi.

— Ona zostawia dzieci, co? — pyta.

Czyż mam mu odpowiedzieć, że ona zostawia męża... Jestem zmęczona, toteż prosba wypada cicho.

— Czy pozwoli mi pan wstać dzisiaj na chwilę?

Nie — przecina krótko. — I chciałam jeszcze powiedzieć... tylko bez ogłaltacji... Gruźlikom nie wolno się przesuwać, niech pani o tym bez przerwy pamięta. Wychodzi.

**G**RUBA, rzeczochrana Grochocka wpada na chwilę, aby zawiadomić, że Zosię przenoszą do III Pawilonu, tego dla najciężej chorych, nie namyślałam się więc dłużej, podno-

### Temat przerósł autora

**W**ZASTRZEŻENIACH Kordyasaż przez ciw utworowi Gerarda było chyba coś więcej, aniżeli zwykłe nieporozumienie. Przemówił w nich chrześcijański zmysł nadprzyrodzoności, autentyczny sensus catholicus.

Myśl o przeniesieniu — dzięki Łasce — tego co zmysłowe w człowieku na jakąś wrażliwość wyższą wyraził Gerard w nader interesującym pomysłach swego opowiadania, przeprowadzenie jednak tego pomysłu przyniosło mu klęskę zarówno ideową, jak i artystyczną.

Klęska ideowa polega na tym, że pisarzowi zabrakło duchowego zmysłu, odczucia życia nadprzyrodzonego i wskutek tego nie wyszedł on poza obrazową, czysto „literacką” sugestię czegoś nowego, rażącego, co jednak nie ma nic wspólnego z doświadczeniami chrześcijańskiej duchowości. Oczywiście, cała scena w Kanie Gallejskiej stanowi dla Gerarda tylko wielką metaforę i artystyczny skrót dla wyrażenia całego kompleksu spraw. Przede wszystkim dla wyrażenia bardzo subiektywnej myśli-wizji o uswieceniu przyrodzoności. Przecież nawet i w tym skróconym ujęciu obowiązują pisarza chrześcijańskiego proporcje i kierunkowe, odpowiadające w jakiś sposób wewnętrznej prawdzie chrześcijaństwa. Jednym z sprawdzianów tej prawdy są przedziwne słowa Ewangelii o utraceniu — dla jej odzyskania — swej duszy przez człowieka. W „Benefisie życia” nie przeżytkuje nie z odczucia tych spraw. I dlatego chrześcijanin musi uznać atmosferę tego opowiadania za uroszczenie, któremu brak prawdziwego pokrycia.

Gerard zdaje się uważać przejście od natury do łaski za sprawę przemiany nie jako ilościowej: zmysłowe natęży się aż do świętości. Naprawdę jest inaczej: W procesie wewnętrznego oczyszczenia zmysłowe przejściowo jakoby zupełnie znikła, aby z Łaską wrócić całkowicie przemienione, nie jako coś naturalnego i oczywistego, lecz jako dar. Momentu tego do dialektycznego skoku w inną zupełnie jakość Gerard nie uchwycił. Bohaterzy jego opowiadania nie ulegają procesowi pełnej pokory przemiany przez wyrzeczenie. Sublimacja zmysłowości nie następuje tu zgodnie z chrześcijańską rzeczywistością życia Łaski. Jest to sublimacja w gruncie rzeczy irrealistyczna i czysto laicka.

W czym wyraża się klęska artystyczna pisarza? W nieosiągnięciu wrażeniu artystycznej jedności poświadczonych stylem i językiem opowiadania z jednej strony ma ono wiele momentów skrajnej cielesności, biologicznego, witalistycznego naturalizmu, z drugiej — odcięciem wszystkiego, odrzucając dzielące się sprawy od prawdy rzeczywistego ludzkiego życia. Jest to raczej utwór poetycki, co podkreśla nadmiernie kunsztowny rytm tej prozy à la Berent, lecz klęci się z tym charakterem atmosfera filzologii. A więc poetycka stylizacja, estetyzująca, wizjonerska deformacja, której nadmierne wyrafinowanie nie pozwoliło na harmonijne i przekonujące działanie artystyczne. W sumie barok stylizacyjny. Wykni dysproporcji między zamierzeniem i osiągnięciem twórczym, między założeniem artystycznym a użytymi środkami wyrazu.

„Benefis życia” przy wszystkich swych błędach był ciekawą próbą. Próba nie powiodła się, stała się nawet dla niedźwiedzi z czytelników zgryztem rażącym. Mogła jednak przynieść cenną naukę autorowi. Okazała, być może, że zdobyte mistyki są podobnie jak wszystko na tym świecie zdobywciami osłaganymi społecznie. I istnieje w nich prawidłowość, potwierdzana przeżyciami wielu pokoleń ludzi, którzy żyli i żyją religia. Nawet zdolny, lecz samotniczy profan-artysta, poszukując duchowych przygód, nie przeniknie do jądra tajemnicy innymi drogami aniżeli te, zazwyczaj najprostsze, które jednak w ciężkim moralnym trudzie wydeptywali poprzednicy, zwani przez Łaskę.

Andrzej Odnowa



Jerzy ZAKRZEWSKI

# KRÓTKA ROZPRAWA ZA I PRZECIWIW

## czyli glosa umiarkowana

### II. KONCEPCJA

SPÓR o „Benefis życia” charakteryzuje gwałtowność i brak umiarkowania. Jest to zarazem pozytywna, jak i negatywną cechą tego sporu. Pozytywną — ponieważ odbiera mu to smutny charakter zwady klerków, sporu szlacheckiego papierem i pozabawionego rumieńców życia. Negatywną — jako że w ferworze dyskusji zwolennicy i antagoniści Gerarda, tracąc poczucie umiaru, wpadają w sady zbyt skrajne, zbyt jednostronne.

Nie jest bynajmniej moim zamiarem pogodzić tych, co są „za”, z tymi, co tak ostro wystąpili „przeciw” opowiadaniu Gerarda. Kto bowiem przemawia takim jak oni tonem, z góry właściwie wyklucza jakąkolwiek rozsądną dyskusję. Inwektywy i panegiriki nie są wszakże odpowiednimi przesłankami do rozumowania. Dlatego też poświęcam moją glosę tym wszystkim, którym „Benefis życia” nie odebrał ani nie umniejszył zdrowego rozsądku.

### I. SPRAWA TEMATU

PISMO Święte St. i N. Testamentu wielokrotnie zaplądniało swymi tematami literaturę chrześcijańską — i to nie tylko, jak chce Jakimiak, „jako źródło wewnętrzznego ducha, wspomagającego wysiłek indywidualny pisarza”, lecz również jako bezpośrednie źródło tematów. Średniowieczne misteria i mirakle, starsaksoński „Heliand”, „Messias” Kłopotocka, „Judyta” Hebbła, „Listy Nikodema” Dobraczyńskiego, widowska pasyjna — a choćby i nasze pastorałki oraz jasełka — to wszystkie różnorodne przykłady trwałego i żywego bezpośredniego oddziaływania tematycznego Pisma Świętego na literaturę chrześcijańską — poprzez wieki. Zatem nie tylko Jeleński i Gerard! Nie tylko Wołoszynowski i Podhorski-Okołowski!

Wieczna i pasjonująca żywotność tematyczna Pisma Świętego wiąże się ściśle ze szczególną pozycją tych ksiąg w naszym kręgu kulturalnym. Tej pobudzającej sile, temu zaplądniającemu urokowi uległ też Alfred Gerard, zaczerpnawszy temat z werseu o cudzie w Kanie Galilejskiej, zawartego w Ewangelii św. Jana.

TO co o cudzie w Kanie Galilejskiej mówi św. Jan jest niezmiernie proste i sprowadza się do stwierdzenia, że na prośbę matki — gdy na godach weselnych zabrakło wina — Jezus zamienił wodę w wino. Gdy gospodarz skosztował wody w wino przemienionej, przywołał oblubienca i rzekł doń: „Każdy człowiek daje naprzód dobre wino, a kiedy się napija, wtedy to, które jest gorsze, a ty zachowałeś dobre wino aż do tego czasu”. Opowieść swą kończy Ewangelista tymi słowami: „Taki to początek cudów uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej, i okazał chwałę swoją, i uwierzyli w niego uczniowie jego”.

Cud ten — pierwszy cud Chrystusa — budził zawsze szczególne zainteresowanie. Już św. Augustyn mówił, że był on „nie tylko faktem rzeczywistym a nadzwyczajnym, ale także symbolem przemiany innej, wyższej”. „W Bethabara Jan chrzczył zwykłą wodą — mówi Daniel Rops — czyż to wino cudowne nie było wodą Ducha?”<sup>1)</sup>

O działaniu wina przemienionego z wody — Ewangelista nic nam nie mówi. Ze słów gospodarza wesela wynika tylko, że było to dobre wino — takie, jakie daje się gościom weselnym na początku godów weselnych, zanim stracą możliwość trzeźwej oceny jakości napoju. A wszakże z uporem nasuwa się pytanie: czy wino pierwszego cudu Chrystusowego było tylko zwyczajnym dobrym winem? Czy też w jakiś specjalny sposób działało na tych, którzy je pili?

Na te pytania odpowiada opowieść Gerarda. I to jest tej opowieści podstawową koncepcją.

Ani tekst Ewangelii, ani tradycja nie dają potwierdzenia koncepcji wyjątkowego działania cudownego wina, ale ta koncepcja nie jest również z nimi sprzeczna.

W twierdzeniu, że boskie wino w jakiś szczególny, niezwykły sposób przeobrażało ludzi, nie trzeba zaraz doszukiwać się dionizyjskich akcentów. Daniel Rops wspomina wprawdzie, jak to „w chórze Bachantek Eurypidesa Dionizos sprawia, że ze źródeł zamiast wody wypływa wino,

a przyrodnik Pliniusz wierzył w nadzwyczajność wyspy Andros, gdzie woda płynąca w świątyni boga zamieniała się podczas non styczeńskich w wino<sup>2)</sup> — ale mimo to „dionizyjska” koncepcja cudu w Kanie Galilejskiej nie jest przekonująca. Koncepcja szczególnych skutków cudownego wina jest natomiast logiczną koncepcją pogłębionego działania cudu.

Co więcej — jest to koncepcja nie odbiegająca od realiów Ewangelii. Gody weselne w Kanie Galilejskiej, to zwyczajne żydowskie zaślubiny w zamożnym domu, dokonane z zachowaniem wszelkich przepisanych Zakonem obrzędów i zakończone wystawną ucztą, w czasie której dużo jedzono i dużo pito. Wina zabrakło w momencie, gdy — wnosząc je do słów gospodarza wesela — goście już sporo wypili. Chcieli pić więcej — a wina zabrakło. I wtedy — to wino! Cudowne wino, wino przemieniające ludzi!

Radosny nastrój wesela oraz uświęcenie związku mężczyzny i kobiety w małżeństwie — to co jest tak bardzo znamienne dla cudu w Kanie — związane jest jak najsilniej z obyczajami, moralnością i poglądami narodu żydowskiego w owym okresie. Pocóż tu dla wyjaśnienia koncepcji Gerarda sięgać aż po „poetycką koncepcję Chrystusa — Dionizosa, błogosławionego i afirmującego tym cudem ludzką doczesność” (Lichański) lub po „poetycką syntezę helleńskiego ubóstwienia życia z metafizyką chrześcijańską” albo „wcielenie mitu Dionizosa do chrześcijańskiej koncepcji życia i świata” (Przekora).

Uświęcenie małżeństwa i akceptacja jego roli w życiu ludzkim, to bynajmniej nie helleński element w nauce Chrystusa. I choć mit dionizyjski należy do najgłębszych mitów helleńskich (co prawda obcego pochodzenia) — na co zwraca uwagę Lichański — to jak wiadomo obrzędki i sens tego mitu nie były bynajmniej skierowane ku uświęceniu

<sup>1)</sup> Daniel Rops: Dzieje Chrystusa. I. Warszawa 1930.  
<sup>2)</sup> o. c. str. 218.

i podkreśleniu znaczenia instytucji małżeństwa.

Po to, by w Kanie Galilejskiej znaleźć „istotną zbieżność helleńskiego i chrześcijańskiego poglądu na świat” (jeszcze raz Lichański), trzeba stracić z oczu prawdziwą Kanę w prawdziwej Galilei, takiej, jaką ona była w marcu 28 r.

### III. REALIZACJA KONCEPCJI

JAK koncepcję niezwykłego działania cudownego wina zrealizował Gerard w swoim opowiadaniu?

Szymon i Anna: „Najpierw mały łyżeczek. Coś długo te krople na języku ważyły, oczy przymrużać. Stał teraz zaszuchnięty w siebie, a słodki żar węgla przenikał i tłumiał zię upojenie. Przechyliwszy się głębiej, zaczął pić łapczywie aż do utraty tchu i z trudem usta oderwał. Czad z wierzęcy, pozostały po tamtym napoju, z wolna zeń uchodzili”.

Anna: „Piła jak dziecko bez wprawy, co chwila obliżując wargi. Nagle uniosła oczy ku górze. Wydało się, że nadsluchuje, jeszcze nie wolna od leku... Miała ochotę wstać. Oddychała jak gdyby wstępowała w nią wszystkie winnice tej ziemi... Figlarność jej, niemal dziecięca, przesłoniła owo ciężkie odurzenie znane mu z początku uczy”.

Szymon i Anna doznają pod wpływem cudownego wina przystrojenia wewnętrznego. Odpływa, odchodzą od nich ten nieokreślony konflikt, który narasta w pierwszej części opowiadania. Ich sprawa, sprawa ich małżeństwa zostaje uświęcona. Zię upojenie zostaje przewzmożone, ustępuje „stanowi przedziwnego uświęcenia pragnień”.

A jak w ino działa na gości weselnych?

Nawet czerwony opilec, jedyny, którego wino pognebi, mówi o tym winie: „Nie daje tego, co zawsze”, nie daje ciężkiego odurzenia, znamięującego zawsze pijaństwo. A potem dorzuca: „Nie czuję sam siebie”.

Gości weselnych ogarnia uczucie zwiewnej lekkości: „Kości mam puste jak ptak” — woła gospodarz wesela. I pod wpływem tego zdumiewającego uczucia lekkości zaczyna koziolkować, krażyć tanecznie, robić saltę przez głowę, tańczyć — „wyśkakując nieledwie ze swych skór”. Karzeł zwierza się panience: „Nie czuję własnego ciężaru. Ulżyło mi, ulżyło chłuba na zawsze”.

Działanie tego wina, które „oświeca i porusza”, które „rozjaśnia”, które „odnimuje zmysłom ślad wstyłu długiego skażenia”, które „otwiera drogę do serca wszechświata” — nie ma w koncepcji opowiadania Gerarda nic wspólnego z pijaństwem. Uważny czytelnik nie znajdzie w tekście istotnego potwierdzenia zarzutów postawionych przez niektórych dyskutantów, że ta ucztę weselną przemienia się w orgię pijańską.

Ale uważny czytelnik znajdzie też w opowiadaniu Gerarda zdumiewające niekonsekwencje. Dla przykładu:

— dlaczego to wino, które „ładzę wysusza” — wzburza krew młodszych dziewczyn, które „ocierają się o Annę ukradkiem”?

— dlaczego ci, których ten napój napełniał młodzieńczą bezładną — „przywierają oczami do panien”?

— dlaczego niektórzy pod wpływem tego wina (a w ich lirze i Anna) chwytają się „kolek”? dlaczego robi im się niedobrze?

— dlaczego czerwony opilec reaguje tak odmiennie na to wino, dlaczego jest na jego działanie tak odporny?

Lista tych „dlaczego” mogłaby być znacznie dłuższa.

Te niekonsekwencje ciąży w sposób fatalny na opowiadaniu Gerarda i prowadzą do tych zasadniczych nieporozumień, które wyładowały się w dyskusji.

### IV. DLACZEGO TAKIE OBUWZENIE?

ALŻE przynależało, że nie tylko te łatwo uchwytnie niekonsekwencje są powodem tego oburzenia, które przechodzi czasem w formę niewybrednych inwektyw. Szukając przyczyn tego oburzenia, zastanawiając się nad powodami, dla których „Benefis życia” został uznany przez niektórych czytelników za „cisną orłową bachanalię” — dochodzimy do najistotniejszej niekonsekwencji:

atmosfera tego opowiadania — to atmosfera narastającego napięcia, niepokoju i podniecenia.

Właśnie — atmosfera!

Autor akcentując atmosferę „tętniącej lotności” przepaja swą opowieść rytmem niepokojącego wewnętrznego ruchu. Gody weselne ogarnia ten stale wzrastający na sile ruch i falowanie wladowujące się w tanecznej zwłoczności, koziolkowaniu, piasach... Punktem kulminacyjnym niekonsekwencji jest „taniec z węzłem”, wnoszący ciężki, zmysłowy niepokój — sprzeczny z zasadniczą myślą o przeobrażającym działaniu cudownego wina. (A zresztą — nawiasem mówiąc — jest to nie do pomyślenia w pobożnym żydowskim domu w Kanie Galilejskiej — waz wszakże wedle Zakonu był stworzeniem nieczystym).

Atmosfera podniecająca uduchowania świata, przepelniająca utwór Gerarda, wiąże się też z o b s e s s i a b a r w, której ulega autor zwłaszcza w pierwszej części utworu. Spróbujcie zaznaczyć wszystkie „kolorowe” określenia w tym tekście! A przynajmniej wszystkie te określenia uwydatniające k o l o r y s t y c z n a d z i w n o s ć tego co się dzieje na godach weselnych w Kanie.

Obsesja ruchu i obsesja barw akcentują i podniecają nerwową, rozczętą podnieceniem atmosferę opowiadania, stwarzają ten nastrój, który tak bardzo razi (i drażni) wielu czytelników.

### V. KILKA DODATKOWYCH UWAG.

SPOŁECZNOŚĆ żydowska w okresie, gdy Chrystus zaczynał swą publiczną działalność, bardzo skutecznie odebrała się od świata pogańskiego, od wszelkich obcych infiltracji obyczajowych i ideologicznych. Społeczność żydowska w owym okresie strzegła Zakonu — i Zakon strzegł jej czystości. Dlatego też uważała, że „nie ma wolnego wyboru, nie ma użycia siły”.

Obsesja na godach weselnych rudości czterdziolatki, drwiącej z religii żydowskiej i z obrzędów, niewierzącej w „ich Jehowę”, głoszącej, że „nie ma wolnego wyboru,

(Dokończenie na str. 11)

# Kopacz

szę się, wsuwam nogi w pantofle. Idę do 14-ki.

A Zosia leży z różańcem spleta nym na dloni i wita mnie radośnie:

— Telefonowali z punktu rozdzielczego, mój do mnie przyjechał! — streszcza w tym zdaniu całą tęsknotę ubiegłych miesięcy i szczęście wielkie, przestawiając wszystko inne.

W tej chwili burczy auto punktu rozdzielczego — z wysiłkiem wspina się pod górę do naszego sanatorium. Wychylam głowę przez okno, aby ujrzeć człowieka, którego znam już tak dobrze z opowiadań. To nie on — z auta wysiada czarniawy, niski mężczyzna, trzyma pakunki związane sznurkiem, kobiałkę... I jak tu odwrócić twarz do Zosi... Słychać uderzenie drzwi na dole, kroki skrzypiące po schodach, pukanie do pokoju...

Ciekawość sprawia, że Grochoczek tężeje w oczekiwaniu, a ja, czy mój strach przed rozczarowaniem Zosi też taki widoczny...

Zosia jest bardzo wzruszona, pod niecenie uncji ją po prostu w kierunku drzwi, a jednak kiedy gość wchodzi, krótką tylko falą przelatuje po niej zawód i smutek i już gotowa na przyjęcie chwili takiej, jaka jest jej dana, woła niecierpliwie:

— Wojtek, mówcie, co wam Jasiek kazał powiedzieć!

Ten jakiś Wojtek, jakiś ich znajomek, stawia powoli koszyk, paczki na ziemi, kręci kapelusze w rękach i tak samo wolno duka zlecenie.

— Ano cóż, Jasiek bardzo chciał was widzieć, ciągle ostatnio o was mówi, boj się czegoś... no i posłał mnie...



Ciekawość zamieniła się u Grochoczek w zwyczajną złość, z bezczelnością cedi przed siebie — głupi ludzie — i głośno trzaska drzwiami.

USZŁO kilka zaledwie dni, ale tym razem rozlały mi się one w okres długi, ciężki — mają dla mnie tę samą wagę, co dawniejsze zawarte w wielu miesiącach. Wstuchuję się w skrzypienie moich nierówno uciśniętych płuc, w maleńki bulgot gdzieś u dolnego płatu, oddycham ostrożnie, aż do miejsca, przy którym opłucna reaguje bolesnym, ostrym kluciem.

Przez drzwi zagląda puciołowata salowa w białym czepku.

— Hej, panno Stasiu, przecież pani pracuje na III-im oddziale, prawda?

— Tak. Szukam siostry Marty.

— Panno Stasiu, co się dzieje z Zosią Kopacz... mała, drobna... była tu u nas przedtem...

— Kopacz... Kopacz... taka większa kobieta... ej, to nie wiecie! Umarła. Dzisiaj przyjechał jej mąż... siedzi przy trumie i płacze jak małe dziecko, a chłop jak dąb.

Odwracam głowę w bok. Na stoleku stoi talerz z resztą czereśni. Są zgnite, czerniałe — już mnie nie żałują.

## List o „Benefisie życia”

Szanowny Panie Redaktorze!

WOBEC żywej dyskusji, jaka rozwinęła się dookoła noweli „Benefis życia”, pozwalam sobie dodać parę słów od siebie.

Przed wszystkim — nie widzę tam absolutnie nic co by uwłaczało religii. Motyw ewangeliczny wprowadzony jest tak dyskretnie, a końcowy efekt tak szlachetny, że nie może to chyba obrazić nęczych uczuć. Pewna też jestem, że wielu czytelników nie zorientowało się w ogóle o co chodzi. Co do mnie wyznaję szczerze, że gdyby nie zalekawkienie wywołane polemiką, nie miałabym cierpliwości przeczytać tego do końca. Pan tania bowiem jest... cieszka. O ileż lepiej i zgrabniej umięją takie rzeczy pisać Francuzi! Cała ta zmysłowość jest wysłona i, co najgorsze, rozwiekła, w skutek czego zamість pobudzać wyobraźnię — nuży.

Mimo to nie stawiam zarzutu pornografii, bo znać, że autor traktuje całą rzecz poważnie i usiłuje stworzyć dzieło sztuki. Inna rzecz, czy mu się to udaje, ale widać tam na każdym kroku ten szczyry wysiłek artystyczny.

Dlatego też uważam za rzecz słuszną, że „Dziś i Jutro” zamieściło ten utwór, ponieważ zasługuje on bezwarunkowo na to, żeby ukazać się w druku.

Zarzut niektórych czytelników, że nie powinno go być drukować pismo katolickie, wydaje mi się niesłuszny. Słowo katolickie nie znaczy dewocyjne. Przecież „Dziś i Jutro” to tygodnik kulturalno-społeczny, a więc obowiązany do poruszania na swoich łamach wszystkich dziedzin, wprawdzie z punktu widzenia katolika, ale bez jakiegokolwiek zaciśniania poglądów, w przeciwnym bowiem razie pismo utraciłoby poczciwość, a więc nie mógłoby spełniać swego zadania. W tym zaś wypadku temat zaczerpnięty pośrednio z Pisma św. budzi tym większe zainteresowanie, dorzucając jeszcze jedną i to wcale ciekawą pozycję do całej tej beletrystyki, jaka rozwija się u nas zaczynając od „Pójdźmy za Nim” aż do dni obecnych.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy poważania

Alina Swiderska



Zygmunt LICHNIAK

# NIEPOROZUMIENIA POETYCKIE

SĄ tomiki poetyckie, o których pisać — jest rzeczą żenującą, a nie pisać — wygodnictwem. Myślę o tomikach poetów bez wzajemności zakochanych w poezji. Ten eufemizm wyrasta tylko z troski, by nie skrzywdzić debiutantów. Bo sprawa jest jeszcze drażliwsza, jeśli tomik żenujący swoją nieporadnością jest jednocześnie pierwszym tomikiem poety, któremu poezja nie odwzajemnia jego — być może — gorących i szczerych uczuć. A tak się zdarza bardzo często. Za często nawet.

Bierzesz tomik do ręki, kartkujesz najpierw, potem — już odczuwając przykrość cudzych śmiechów — wchodziś w smutną lekturę, czytasz prymitywne — w ujemnym znaczeniu tego słowa — wierszyki, męczysz się ich rachitycznym wdzięczkiem, manoderią, sztubacką naiwnością, nie możesz na marginesie nie odnotowywać z konieczności twardej i nieuniknionej okrutnych uwag, zamykasz książeczkę z przykrym poczuciem ludzkiej pomyłki, z przykrą pewnością, że przyjdzie ci wyrządzić — choćbyś najbardziej nie chciał — wielką przykrość innym.

Ważysz nieważki tomik w dłoni i wiesz, że jest on czyjąś dumą i radością, że był hołubiony w snach, pieszczony w myślach, niesiony —

Jan Nagrabiecki. „Rozważania wiosenne”. Czytelnik W-wa 1952, str. 63.

(dokończenie ze str. 4)

Nowosad ścisnął sobie skronie rękami. Na twarzy miał wyraz cierpienia.

— Nie wiem — odpowiedział półgłosem — naprawdę nie wiem...

Ale najbliższe dni miały im wiele wyjaśnić.

Pytanie, jakie stawia kapral Górnicki już w jednym z pierwszych dni wojny, gdy rozproszone oddziały polskie śpiesznie a beładnie wycofywały się spod Rożanu, było wówczas na ustach każdego chyba uczestnika tragicznej kampanii. W słowach tych przemawia bolesne rozczarowanie, żal i rozgoryczenie żołnierza, który pokonany został niemal jeszcze przed zetknięciem się z nieprzyjacielem. Oto niespodziewanie walił się cały świat, w którym wyrosł, waliło się to, co było w nim złe i dobre, świat, przeciw któremu niejednokrotnie się buntowali, ale który był jednak ich światem. Znikły wiara i mocarstwo, pierzchy sny o potęgę, pozostawała żalosna rzeczywistość. Rozczarowanie zawieszonych mas — to chyba jeden z najbardziej tragicznych momentów września. Na pytanie, które było zagadką dla podchorążego Nowosada, umie już odpowiedzieć Żukrowski, zbrojny w mądrość kilkunastoletniego dystansu. Jego powieść stara się w pewnym, ograniczonym zakresie wyjaśnić, dlaczego musieliśmy tę wojnę przegrać, i zamiar ten staje się zasadą doboru i układu wydarzeń, z których mamy tę odpowiedź wyczytać. Rzucając swego bohatera na falę historycznych wydarzeń i czyniąc go raczej biernym ich uczestnikiem, stawia go wobec nich tak, aby przy zachowaniu pewnej konkretyzacji wydobyc z nich treść polityczną interpretującą. Zamiar piękny, ale czy w pełni osiągnięty? Przyjeba przez pisarza w ukształtowaniu powieściowej fikcji konwencja, nakażająca ograniczyć się do tego, co w ciągu tych trzech tygodni widział i doświadczył jeden człowiek, nie może wystarczyć. Daje ona autorowi z jednej strony dużą swobodę, z drugiej zaś wyraźnie ją ogranicza.

Mamy tu konstrukcję luźno powiązanego łańcucha wypadków (miejscami nawet wkrada się pewien chaos kompozycyjny). Ich przyczyna sprawcza leży gdzieś nie tylko poza

jeszcze ze świeżym zapachem farby drukarskiej, jak szczęście wcielone, pokazywany jak owoc dojrzałej dumy. Domyślasz się, że dłoń autora drżała nerwowym oczekiwaniem przy pierwszych korektach, śpieszyła się szalenie przy ostatniej.

I jednocześnie wiesz, musisz wiedzieć i widzieć z okrutną jasnością, że ów tomik, noce wzruszenia świetliste, nadzieje i spełnienie snów, że to wszystko to błąd, pomyłka, trud nienagrodzony, śmieszność, fałszywe szkieleka sprzedawane jako diamenty, sztywne, papierowe kwiaty, które tam komuś pachniały upajająco jak pęczek konwalii lub bukiet jaśminu czy bzu. Masz powiedzieć malarzowi, który namalował — swoim zdaniem — obraz o słoneczności, dynamice i pięknie van Gogha, niemal że — twoim zdaniem i zdaniem wszystkich mających odwagę mówienia prawd gorzkich — jest to po prostu kiepski oleodruk, cukierkowa paćkanina, ramota. Przypominasz sobie starszą kobietę, dzielną kobietę, piękną matkę synów nieżyjących, zamordowanych przez wojnę, przypominasz sobie jej wiersze o pięknym uczuciu żalu i ofiary, wiersze straszne, płaskie, nijakie, rezwoodnie, czytane ci głosem nabrzmiałym bólem i łzami, wiersze tragiczne swą melodramatycznością.

I pytasz, co począć z tomikiem nieważkim, odważnym w dłoni chyba znającej, od wielu lat upornie

wykonywanego zawodu, ciężar złoto. go kruszcu, ciężar rżniętego kryształu czy szlachetnej rudy. Masz poczucie, że odważyłeś sprawiedliwie. Znasz wynik: kiepski tombak przemiany jako dukatowe złoto.

Co począć? Przeczuwasz uczciwość oszukanego przez samego siebie niezdarne go złotnika, który jest przekonany, że ofiarowuje ci cellinowski puchar z najczystszej kruszcu. Puknąć palcem, by zadźwięczał jak blacha i dźwiękiem tym zdradził mimo wolną tandetę? Odstawić wstydliwie na mroczną półkę, by nie żenował kulfoniastą niezdarnością?

Poznaczony twoimi zapiskami tomik musi już przestać być czymś ukochaniem, spełnieniem snów, staje się realnym, konkretnym tekstem literackim, domagającym się — przez swoją symptomatyczność — większej uwagi, niż na to zasługuje swoją wartością.

Wszystkie prawie wiersze są nijakie, prymitywne, wyrównane w dół. Wszystkie prawie cechuje nieodkrywczość widzenia, banalność kojarzenia obrazów, nieudolność w podporządkowywaniu się choćby najbardziej podstawowym rygorom, łatwizna, tania liryczność referowanych nastrojów. Autor nie ma nic nowego do powiedzenia w kategoriach doznań poetyckich. Brnie w opisy. Opis jest także oceną świata. Więć i opis jest tu poetycko jałowy.

O drzewach pisze  
Kotłyszających ciszą,  
że lot swój pierwszy  
rozwiła szerszeń.  
Runął ognisty grzmot!  
Szary, leniwy kot  
przebiegł drogę.

Tak wygląda fragment opisu burzy. Wiadomo dlaczego szerszeń lot rozwija pierwszy, a nie drugi. Gdyby to było w lecie, lot byłby chyba trzeci. Wiadomo dlaczego przebiega drogę kot, gdy runął ognisty grzmot. Gdyby to była błyskawica, kot byłby chyba kocica, a może pojawiłaby się kozica, bo i tak nie chodzi tu o sens, o obraz, o prawdę.

W wierszu o poezji i miłości autor stwierdza, iż:

Zeby przeżyć poetyckie wloty  
niekonieczne są samoloty.  
Zeby miłości wzniesić pożogę  
niepotrzebny jest w piecu ogień!  
Zeby poznać szczęście najprościej  
trzeba poezji, trzeba miłości.

Zakończenie wiersza świadczy o tym, że autor taki typ wyznania traktuje zupełnie serio. Oczywiście, można by mu odpowiedzieć jego stylem i w jego formie; można by pozwolić sobie na uwagę iż:

Zeby w taki rym utrafić  
Trzeba tylko ortografii.

lub:

Z-by autor był poeta  
Na to wszyscy krzykną: veto!

Najlepiej jednak chyba pozostać taki przykład (typowy dla tomiku) bez komentarzy. I wesprzeć go

innym przykładem (z następnej strony i następnego wiersza):

Jeszcze w pobliżu prywatny młyn,  
a spółdzielcy w oborze już nakładają  
tynk!  
Jeszcze bogacz krzywi wroga twarz,  
a już przyszłość usmiechnięta masz!  
Jeszcze jesteś naiwna i płoża,  
lecz już umiesz całym sercem kochać!

To hołesne, ale prawdziwe. Cytaty są autentyczne. Tak autor opisuje nadchodzącą epokę, przełom społeczny, taką pointą zamyka całkiem serio traktowany przez siebie wiersz.

Naturalnie, można i tutaj sprawę pozornie złagodzić przysięwką komentatorską:

Jeszcze autor wierszokleta,  
A już zowie się poeta.

Tak samo można zabawić się i z większością pozostałych utworów. Lecz zbyt okrutna to zabawa. Trzeba, oczywiście, pewnej dozy miłującego okrucieństwa, by podjąć w ogóle sprawę takich wierszy, ale lepiej to twarde prokuratorstwo sprawać do minimum przez oszczędzanie pełnych cytat, przez poprzestanie na wypunktowaniu dalszych nieporozumień.

Nieporozumieniem wyjściowym jest tragicznie płytkie pojmowanie poezji. Autor sprowadza ją do notatnika nastrojów, nietwórczych re-produkcji wzruszeń absolutnie nieodkrywczych. Stąd taniutki deklaratorywności, koncepcyjne łatwizny, banalne, powielaczowe wyznania. Wiersz „Matka“ zaczyna się stwierdzeniem:

Znam tyle pięknych wierszy o tobie  
i sam raz wiersz napisałem.

Zakończenie wiersza brzmi:

Już mi nie jest zimno,  
daj spoczynek po znoju,  
twoja miłość do syna:  
biały gołąb pokoju.

A w środku młde wspomnienia o piecie matczynej, wyrażone językiem wierszy laurkowych. I tak wygląda sprawa zawartości poznawczo-emocjonalnej w każdym prawie utworze, nie mówiąc już o tych, które są tylko oleodruczkową pocztówką. Przykładów można by namnożyć zbyt wiele.

Próbny urefleksyjnienia powierzchownej liryki nastrojów kończą się niemal parodią liryki refleksyjnej, jak np. w wierszu „Matka z synem poeta“:

Powiedz, mamo, co by było,  
Gdyby zgasty świadka i pobladły  
cienie,

spłowiwały barwy wód i pól?  
Czy iść naprzód, czy do tyłu,  
jednakowo zagubieni,  
blądziłoby ludzie kryjąc ból.

Z tej wąskości widzenia świata, z powierzchowności przeżywania jego treści ideowych, z ułatwionego rozumienia poezji, bierze się tandetność środków wyrazu, bezelastyczność słowa, łatanie wiersza byle jak, zapychanie luk mało wartościową pakulą, zupełny brak kontroli, i estetycznej, i logicznej, i wręcz językowej. Jaskółki są siwe („Pieśń o zwycięstwie“), ramiona rozprężają się w szyję („Roboty“), blaski zwierzeń kryje serce, które bije w kieszeni („Światła Mariensztatu“), tramwaj jest prostoliniowy („Pierwszomajowa stolica“), poeta jest jak sieroty poseł („Ojczyzna“), wkłada bukiet do umarłej ściany („Lubelskie zaduszki“), przed Raymonde Dien osie zgrzytnęły dzwonem („Raymonde Dien“) itd., itd., itd.

Jak zamknąć ten tomik bez żalu, bez goryczy, bez postanowienia podjęcia słów twardej, gorzkich, bolesnych?

Dlatego — ten artykuł o niepotrzebnym tomiku jest potrzebny.

Z. Lichniak

**CZYTAJCIE**  
**„SŁOWO Powszechne“**  
**PISMO CODZIENNE**

## Trzy wrześnie

bohaterem, ale i w ogóle poza światem przedstawionym, stąd na drodze Nowosada wydarzyć się może niemal wszystko, może on spotkać każdego — i będzie to dopuszczane przez logikę utworu. Z tej dogodności korzysta pisarz z umiarem, licząc się z prawem życiowego prawdopodobieństwa, a jednocześnie widzi konieczność wzbogacenia przeżyć Nowosada o doświadczenia spotykanych przezeń ludzi, zawarte w ich relacjach. Dlatego zetknie swego bohatera z młodym nauczycielem, grupą więźniów czy ze starym Ślązakiem. Opowiadanie każde z tych postaci daje jakieś oświetlenie tej wojny od strony określonej grupy społecznej. Wydaje się, że gdyby zdarzenia przez nich zrelacjonowane, siłą rzeczy bogatsze w treści typowe, socjologicznie reprezentowane, wymienić na treści obrazowe, bogatsze w konkret, obraz września byłby bardziej pełny i dojrzały. Oczywiście, zarzut ten uderza w samą koncepcję książki, w jej zasadniczy pomysł, więc upieranie się przy nim było by może przesadnym krępowaniem zamierzeń pisarza. Wszak w swoich wypowiedziach na temat „Dni kłęski“ Żukrowski kilkakrotnie podkreślał, że celem jego było pokazanie września oczyma żołnierza, przez pryzmat jego jednostkowych doświadczeń. Wspomniane jednak zabiegi wskazywałyby na to, że sam autor dostrzega niedostatki tej koncepcji. Żukrowski widzi ostro każdy szczegół. W każdym przeżyciu czy obrazie raduje go wielość, różnorodność i zmienność szczegółów, którą też stara się przekazać czytelnikowi. Upaja go ciągle falowanie rzeczywistości, ciągle ruch, nieustannie zachodzące w nim przemiany. W prozie jego dostrzegamy równowagę narać, opisu i dialogu, ale wszystkie te formy podawcze podporządkowane są silnemu nurtowi dynamicznemu utworu. Bo też ruch i zmienność dominuje w prozie Żukrowskiego tak dalece, że od nich zależy budowa zdania. Intensywny ruch wpływa na przyspieszenie toku składniowego, decyduje o skróceniu fazy zdaniowej, kondensacji, zastąpieniu zdania złożonego zdaniem prostym, zdania prostego — równoważnikiem, o elip-

sie orzeczenia itd. Każde zdarzenie, każdy człowiek mocno jest osadzony w konkretnie. Jeżeli pisarz pokazuje nam jakąś sytuację, to stapia ją w jedno z otoczeniem, z t.zw. tłem, które bardzo dalekie jest od konwencjonalnej dekoracji, ale żyje własnym istnieniem, skwapliwie przez pisarza notowanym. Obraz u Żukrowskiego zawsze skrótowy, związany jest ściśle z chwilą, która przepływa, w momencie później już co innego mogło by zająć uwagę i pobudzić wrażliwość bohatera. Stanowi on wypadkową cech stałych, niezmiennych oglądanej rzeczywistości i jej cech indywidualnych, zmiennych. W tym przejawia się wycucie ciągłej dynamiki życia; dzięki niemu każdy opis, każda scena pulsuje „dzianiem się“, tętni życiem, które nieraz kipi i przelewa się przez zamykającą je konstrukcję składniową. Na tle uwielbienia konkretnu jawi się u Żukrowskiego niechęć do syntezy, do uogólnień, jakby w obawie, że mogą one zubożyć rzeczywistość o jakiś właściwy jej odcień, kontur czy półton. W „Dniach kłęski“ niechęć ta słabnie i to jest jedną z zapowiedzi zwrotu w jego twórczości. Powieść ta bowiem — jak już zaznaczyłem na wstępie — nie jest odcieciem się od tego wszystkiego, co spotkać można w opowiadaniach „Z kraju milczenia“. Wiele z zaprezentowanych tam właściwości odnajdujemy i w „Dniach kłęski“, ale — i to jest rzeczą zasadniczą wagi — w innym wzajemnym ustosunkowaniu. Taki np. nurt biologizmu — zasadniczy dla „Lotnej“ — odezwi się i w „Dniach kłęski“, ale w dalszym — właściwym mu planie. Niech więc nie dziwi nas to, że Nowosad nieraz pokaże „ulańskie“ rogi, skryte pod hełmem artylerzysty.

Żukrowski jest mistrzem w kreśleniu zjawiskowej postaci ludzi i zdarzeń. Z nieomylną precyzją przekaże każdy ruch, gest, słowo. Są jednak w świecie powiązania bardziej ukryte, korelacje dla oka czy ucha nieuchwytnie. Pióro Żukrowskiego dochodzące do tych spraw, traci cały swój rozmach, tak że wewnętrzny mechanizm rzeczywistości niejednokrotnie

pozostaje ledwie muśnięty lub wręcz nieodkryty. Prawda każdego gestu, ruchu czy słowa nie tworzy jeszcze pełnej prawdy o człowieku. Pozostanie poza nią zawsze ta reszta, która wobec wszystkich innych przejawów życia ludzkiego pełni rolę wyjaśniającą i organizującą. Niebezpieczeństwo to sygnalizowała już „Lotna“. Podobnie było i w „Przed furcą“, gdzie pisarz nie wyjaśniał pobudek ludzkich czynów, lecz odwoływał się do przyjętego przez siebie systemu wartości, leżącego, rzecz jasna, daleko poza utworem. W „Dniach kłęski“ znajdujemy trafny rozkład społeczno-politycznych akcentów. Pisarz ogarnia przedstawione wypadki surowym, męskim spojrzeniem i daje ich słuszną ocenę. W silnie skontrastowanych scenach potrafi Żukrowski pokazać z jednej strony małość i nędzę ludzi z obozu, który doprowadził Polskę do katastrofy, z drugiej siłę, wytrwałość i poświęcenie żołnierza czy cywila. I w tym zawiera się dużo prawdy o Wrześniu, tym bardziej, że nie ma tu jakiegokolwiek mechanicznego podziału. Tu widzimy wyraźnie, jak wielka odległość dzieli nową powieść Żukrowskiego od „Z kraju milczenia“. Zrozumienie wagi konfliktów i powiązań społecznych i ich decydującego wpływu na bieg historii stanowi dla pisarza wielkie osiągnięcie. Doceniając znaczenie tego osiągnięcia i podjęty przez pisarza wysiłek, nie sposób przemilczeć, że i w „Dniach kłęski“ działanie wewnętrznego mechanizmu świata nie zawsze rysuje się wyraziście, powiązania społeczne są niejednokrotnie zbyt wątłe, nie docierające do głębi przedstawionych wydarzeń, że zbyt mało wiemy o wnętrzu prezentowanych nam ludzi. „Dni kłęski“ wyznaczają słuszny kierunek w rozwoju pisarza, ale żeby Żukrowski, świetny prozaik i niezrównany mistrz w malowaniu zewnętrznych przejawów życia, stał się również doskonałym powieściopisarzem, musi wzbogacić swą wiedzę o prawach rządzących życiem społeczeństw i życiem jednostek.

„Dni kłęski“ są dziełem wybitnego artysty. Są one jednocześnie wstępem, zapowiedzią nowej i — można tak chyba bez ryzyka powiedzieć — zwycięskiej drogi pisarza.

Slawomir Błaut



Zestawił Janusz PRZEWŁOCKI

KARTKI Z DZIEJÓW ROPY NAFTOWEJ

# Od wścibskiego cesarza do płaczącego premiera

**N**IESŁYCHANIE szybki rozwój silnika spalinowego, a co za tym idzie wprost błyskawiczny wzrost produkcji samochodów i silników stacyjnych, łączy się nierozdzielnie ze wzrostem zapotrzebowania na odpowiednie paliwo. Pekarzem nowych maszyn jest benzyna, nafta lub ropa. A skąd czerpiemy ropę naftową? Na to pytanie odpowie nawet dziecko, gdyż w podręcznikach geografii wiele miejsca poświęca się bogactwom naturalnym różnych kontryentów, z których olej skalny jest obok żelaza i węgla — najważniejszy.

Nie wszyscy natomiast wiemy kto i kiedy wpadł na pomysł używania ropy jako materiału palnego i jak w ogóle znaleziono pierwszą ropę, w poszukiwaniu której trzeba obecnie nieraz setki metrów wiercić w głąb ziemi.



LAMPY PŁONĄ W PAGODACH

**C**OFNIJMY się o dwadzieścia parę wieków wstecz.

Już od najdawniejszych czasów wydzierano ziemi różne bogactwa, sół zaś może najdawniej. I oto jakieś 200 lat przed nar. Chrystusa, gdy na rozkaz pewnego cesarza chińskiego, szukano nowych złóż soli, dostrzeżono nagle, jak ze szczeliny skalnej trysnęła brudna, cuchnąca ciecz, zalewając otwór wiertniczy i uniemożliwiając dalszą pracę. Zdziwienie nie miało granic. Sam cesarz zainteresował się tym zjawiskiem, dokonując pierwszych badań oleju skalnego. Okazało się, że choć sama ciecz pali się niełatwo, to jednak przy podgrzaniu płoną chętnie pary cieczy. Poczęto olej wygotowywać, odkrywając w ten sposób proces rafinacji ropy. Na dworze cesarza i w pagodach zabłysnęły lampy, w których spalano jedną z lepszych frakcji oleju.

Jak wiele wynalazków zamierzonych przeszłości, tak i ten z czasem poszedł w zapomnienie i historia ropy naftowej rozwijała się zupełnie niezależnie od niego.



LABORATORIUM CHANA BAKU

**D**OPIERO tysiąc lat potem, kiedy na stepach Azji kwitło Państwo Chanów, jeden z nich docieklawszy od innych, postanowił zbadać przydatność cuchnącej cieczy zanieczyszczającej pola i pastwiska na półwyspie apszerańskim nad morzem Kaspijskim (obecny rejon Baku, gdzie Związek Radziecki eksploatuje jedno z najbogatszych zagłębi naftowych świata).

Przebiegły chan tak długo dociekał tajemnicę płynu, aż odkrył, poraz drugi, proces destylacji. Gdy skonstruował prymitywną lampę naftową, posłał ją natychmiast swemu panu, szachowi perskiemu, i uzyskał od niego wyjątkowe prawo eksploatacji nafty. Tak powstał pierwszy monopol naftowy i tak chan Baku stał się pierwszym człowiekiem, który dzięki ropie zgromadził ogromne bogactwa. Jego karawany wozy naftę do wszystkich większych ośrodków ówczesnych mocarstw Wschodu. Mimo jednak, że działo się to nie tak znowu dawno i że lampy naftowe w dosyć się rozpowszechniły, droga od sprytnego chana do cynicznego kapitalisty I. D. Rockefellera nie była cięgią i prostą. Kolejni władcy stepów zniszczyli pałac i laboratorium nad Morzem Kaspijskim, na długie lata zapomniano o sztuce „gotowania” oleju skalnego. Ok. r. 1840 pewien gubernator rosyjski zainteresowany wpływającym z ziemi płynem, wysłał jego próbkę do Carskiej Akademii Nauk w Petersburgu, celem

zbadań jej przydatności. Odpowiedziano mu, że ten „śmierdzący materiał nie nadaje się do niczego, najwyżej... do smarowania wozów!”



TAJEMNICA GALICYJSKIEJ APTEKI

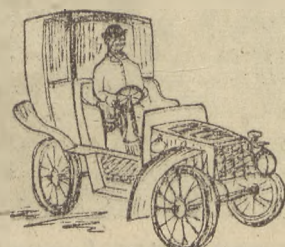
**O**LEJ wydobywający się z głębi ziemi znano także i w Ameryce, ale nikt nie wiedział co z nim począć. Przez całe wieki patrzono bezczynnie na płynącą maź. W 1640 r. opisał ją Hiszpan Alvaro Alosa Barda, tak, jak wiele innych dziwów nieznaną przyrodzie Nowego Świata. Dwa wieki po nim w r. 1853 majster Drake w Titusville wierząc, jak niegdyś Chińczycy sól — trafił na ropę. Teraz zajęto się już tą sprawą naukowo. Oczywiście nie wie dziano, że w dalekiej Polsce niejaki pan Ignacy Łukasiewicz, galicyjski aptekarz, już 5 lat przedtem, bo w 1853 r. umiał destylować ropę i skonstruował pierwszą lampę naftową. Zainteresowano się natomiast pracami Niemca Liebiga, który nieco wcześniej wskazał metodę destylacji i rozłożył olej skalny na benzynę, olej oświetleniowy, parafinę i olej gazowy. Przystąpiono do zakrojonej na poważną skalę eksploatacji źródeł. Powstały rafinerie kolosy. W cłbrzymich kotłach ogrzewano olej i otrzymywano naftę.

TRAGEDIA WYNALAZCY

**K**OTŁY ogrzewane węglem musiały, rzecz prosta, być obsługiwane przez palaczy. Ich rzeczą było pilnować, aby nie nastąpił wybuch i rafinowanie odbywało się w odpowiednich temperaturach.

Zimą roku 1861 jeden z palaczy zachwycony pięknem mroźnego ranka postanowił nieco odpocząć na świeżym powietrzu. Gdyby mniej na palił pod kotłem i gdyby akurat wtedy nie zatkała się rura odpływowa, to nie nastąpiłby „erack” i pewno nie przedko wpadłby ludzkie na pomysł metody „cracking” w rafinacji ropy.

W kotłach pod wpływem wysokiego ciśnienia i temperatury, stały się rzeczy wysoce nieoczekiwane i w skutkach, na krótką metę, przykre: wytworzyło się wiele czystszej jak woda „bezużytecznej” cieczy — benzyny i odrobina „cennej” nafty. Niezszyty pracownik wyleciał na bruk, właściciel stracił parę dolarów i... w dalszym ciągu, starym, debrym chyczącym oddziaływać się naftę od różnych odpadków niebezpiecznych i „bezwartościowych”. Nadal z ok. 20 mil. ton rocznej światowej produkcji ropy — 40% było użytkowane w postaci nafty i parafiny, a 60% stanowiło bezużyteczny odpad.



GAZ UPLYNNIONY

**W**tym właśnie okresie do głosu, dochodzą silniki spalinowe pedzone frakcjami oleju skalnego. Im lepsze paliwo, tym lepiej silnik pracuje. Dopiero jednak w pierwszych latach naszego wieku jakiś sprytny chemik przypomniał sobie „erack” z 1861 r. i uzyskał nań patent. Od tej chwili aż do roku 1934, cały przemysł naftowy, jeden z najpotężniejszych przemysłów świata opiera się o wypadek, którego ofiarą padł zmęczony robotnik.

Wynalazki posypały się. Obecnie ilość drogocennej benzyny wzrosła z 17% na 45% zawartości kotłowej.

W roku 1934 zjawia się „metoda Philippa”, która przez polimeryzację, temperaturę, ciśnienie i katali-

zatory zmieni ciężkie pochodne ropy w materiały łatwopalne, wysokiej wartości. Dzisiaj nie tylko średnio-ciężkie drobiny oleju zamienia się na lepsze, ale i najcięższe, ulatujące poprzednio do atmosfery umiemy „łączyć na benzynę”. Nie trudno jest pojąć znaczenie tych wynalazków, jeśli zdamy sobie choćby sprawę z faktu, że np. z jednego tylko z pół gazowych w Texas tyle otrzymuje się benzyny syntetycznej, ile zużywają wszystkie samochody w Stanach Zjednoczonych.



CENA KRWI

**C**ZWARTY z kolei, wynalazek lampy oraz silniki spalinowe wytworzyły w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego stulecia wyjątkową koniunkturę dla kopalni ropy. Po tysiącach lat od pierwszego znanego nam z historii odkrycia oleju skalnego, pozostały warunki konieczne i aż nadto wystarczające dla gigantycznego rozwoju tzw. przemysłu naftowego. Tych właśnie warunków zabrakło naftcie cesarza Chin i chana Baku. Nie tylko w tym wypadku stosunki wytwórcze i możliwości techniczne wygrzebały spod pyłu zapomnienia stare wynalazki. Powtórzyła się historia późnego zastosowania kłosa wodnego Archimedes, przypomina ją się losy łodzi podwodnej i latawców Leonarda da Vinci.

Ludzkość ma za sobą ogromną drogę odkryć, ale jakże często były

one używane do celów niszczycielskich. W warunkach wstępnego prawa dzungli stawały się równocześnie źródłem niepomiernych zysków i nędzy.

W 1918 r. Clemenceau alarmował Waszyngton: „Kropla ropy warta jest dla nas kropli krwi”. Od ropy więc zależał los wojny. Równocześnie jednak ona to decyduje czy w czasie pokoju miliony silników będą dla nas pracowały, czy w przemysłach związanych z nią bezpośrednio lub pośrednio znajdują zatrudnienie miliony ludzi pracy.

Kapitalizm zrozumiał cenę nafty: „Armie, floty, wszystkie pieniądze świata i wszystkie narody są niczym w porównaniu z tym kto włada ropą” — pisze E. Alres adiutant „Deteringa” — eksurzydnika bankowego w Holandii, który w siedemdziesiątych latach zarabiał 30 guldienów miesięcznie, a w parę lat potem stał się „Napoleonem ropy”, jako założyciel Royal-Dutch-Shell, władca 1/4 nafty wydobywanej na świecie.

I dziś obserwujemy, jak silnym bodźcem we wszystkich pociągnięciach państw imperialistycznych jest nafta. Wiemy, jakie toczono o nią boje, jak gwałcono suwerenność państw, jak okradano Persję, Meksyk i Wenezuelę. Ileż rządów zmieniło się na Bliskim Wschodzie, jakie setki tysięcy robotników głodowało, by spekulanci naftowi mogli uzyskać wyższe ceny za benzynę i samochody.

FELCZER ROCKEFELLER

**B**OFACTWA oleju skalnego są roznieśzone na kuli ziemskiej bardzo nierównomiernie. Poza Związkiem Radzieckim, Polską i Rumunię żadne z państw europejskich nie dysponuje poważniejszymi ilościami ropy naftowej. Olbrzymi przemysł Niemiec, Francji, Włoch i Anglii musi czerpać ją poza gra-

nicami, musi ją kupić lub ukraść. „Znaczenie światowe narodów będzie zależało od ich bogactw naftowych” — mówił z pychą Wilson zdając sobie sprawę, że m. in. fakt posiadania przez Amerykę znacznej części światowych złóż ropy skazuje kapitalistyczne przemysły na uległość wobec USA. Potomkowie Rockefellera do dziś zbierają wiele „twardego” złota w zamian za władanie „płynnym złotem”.

Jeszcze kiedy nafta była spokojnie używana do kopających lampki i naciągania pleców — rodzina Rockefellerów zainteresowała się nią. Pewien felczer o tym nazwisku przejął od swych braci szarlatanów i domokrajców sposób „leczenia” nią wszelkich chorób (rak, reumatyzm, choroby płuc). W 20 lat później syn owego lekarza-szarlatana stał się pierwszym miliarderm świata, dyrektorem nie byle jakiej instytucji, bo najpotężniejszego trustu globu — Standard Oil Co.



POCHODNIE ORMUZDA

**H**ISTORIA polityczna, gospodarcza i dyplomatyczna początku naszego wieku pełna jest przykrego odru oleju skalnego. W okresie przed I wojną światową wśród zacieklej walk i sporów na miarę tych, jakie niegdyś miały miejsce o hegemonię polityczną, rynki zbytu, czy handel — wszyscy ubiegają się o ropę.

(Dokończenie na str. 11)

Alina ŚWIDERSKA

## Portrety i astronomia

**T**EATR Rapsodyczny wszedł na nową drogę. Dotychczas utrzymywał się zawsze w dziedzinie poezji, powiedzmy szczerze — literatury. Nawet poruszając tematy aktualne, (pierwszy jego występ publiczny miał przecież za przedmiot okrucieństwa hitlerysty) postugiwał się stale tekstami zaczerpniętymi z naszej wielkiej poezji, bądź z nieznanych zabytków piśmiennictwa. Obecnie wkracza stanowczo w dziedzinę publicystyki przetransportowanej na ton rapsodyczny. Eksperyment ciekawy, budzący zainteresowanie, jak wszystkie przedsięwzięcia tego teatru, poszukującego wciąż dróg odkrywczych.

Nawiązując do apelu Światowej Rady Pokoju o uczczenie pięćsetnej rocznicy urodzin Leonarda da Vinci oraz do minionego przed dziesięciu laty bez echa czterechstulecia wydania dzieła Kopernika „De revolutionibus orbium coelestium”, połączono te dwa tematy w jedno i związane je z chwilą obecną przez wysunięcie na pierwszy plan konfliktu między wstępnictwem usiłującym wszelkie przejawy odkrywczej myśli ludzkiej, a śmiałą inicjatywą geniuszu sięgającego tam, gdzie sięgać nie było wolno. Wcielaniem scenicznym tych dążeń stają się postaci żyjących równocześnie dwóch geniuszów, a za punkt wyjścia dla dramatycznego ujęcia obrano wyrażoną przez niektórych naukowców hipotezę o możliwości spotkania się ich osobieście w czasie pobytu Kopernika we Włoszech. Do spotkania tego wprawdzie nie dochodzi, ponieważ udaremniają je intrzygi i despotyzm wszechwładnych podówczas w Italii zafacofców, ale mowa jest o tym cigle, a łącznikiem mimowolnym między dwoma wielkimi ludźmi staje się ród Borgiów. Przez nich to rozchodzi się wiadomość o projekcie Leonarda zbudowania wielkiego „planetarium” mogącego się stać dla polskiego astronoma niezastąpionym warsztatem pracy wiodącej do wielokrotnego odkrycia — który to projekt zostaje udaremniony.

Cały przebieg sprawy ujęty został w cztery obrazy ilustrujące zarazem polityczne zagadnienia epoki włoskiego Renesansu w trzech ośrodkach: w Mediolanie, Rzymie i Florencji.

Na mediolańskim dworze Sforzów Leonardo wygłasza swój program badacza naukowego zuchwale przeciwstawiony ówczesnym poglądom i w komiczny sposób zwalczany przez tępego i zadufanego w sobie astrologa, przedstawiciela wiedzy ówczesnej. Wypowiedzianym między innymi twierdzeniem Leonarda o błędnej z gruntu teorii Ptolomeusza — co przez całe audytorium przyjęte zostaje jako bluźnierstwo — przygotowuje się dalszy ciąg akcji, która w następnych dwóch obrazach rozgrywa się w Rzymie.

Poznajemy najpierw Kopernika w pałacu Borgiów, już po wygłoszeniu słynnej jego prelekcji uniwersyteckiej o budowie wszechświata. W starciu między rewolucyjną myślą uczonego a ciemnotą i zawziętością, których wyrazicielem jest Cezar Borgia, odsłania się perfidia i przewrotność całej polityki włoskiej oraz terror wywierany we wszystkich dziedzinach przez ówczesny ustrój. Szlachetny opór młodej Lukrecji, zakochanej w polskim astronomie, — co zaznacza się w sposób niezmiernie dyskretny — prowadzi tylko do tym gwałtowniejszych wybuchów tyranii i nienawiści.

Następna scena ma za tło Watykan, gdzie kardynał, sekretarz papieski wobec pełnej uszanowania, ale nieustapliwej postawy Kopernika, nie chcąc go nie odwracać ze swych twierdzeń — rozkazuje mu opuścić Rzym.

W ostatnim obrazie widzimy znów Leonarda, tym razem we Florencji, gdzie tworzy największe swoje dzieło malarskie — portret Giocondy. Umilowana praca artystyczna jednak nie może mu starczyć za wynagrodzenie zawodu w hamowanej okrutny sposób działalności naukowej. Przeciwnie, myśl jego rwie się w dalszym ciągu ku odkryciom i wynalazkom, mającym dać człowiekowi władzę nad przyrodą i otworzyć dzięki temu nową, szczęśliwszą erę dla ludzkości.

Tekstu do całego scenariusza dołożył L. H. Morstin, który po części posłużył się w tym celu ustępami prozą i wierszem z dawniejszych swoich utworów, — to jest z powieści o Koperniku „Kłosa Panny” i z dramatu na ten sam temat granego u nas przed wojną na dziedzi-

cu wawelskim i na podwórzu starej Biblioteki Jagiellońskiej, — po części zaś dokomponował treść nową.

Jakkolwiek dramatyczna jest sama osnowa faktów, na których oparto całe przedstawienie, to wątek jaki się na niej snuje nie zawiera pierwiastka dramatycznego. Wypowiada nie poglądy naukowych, filozoficznych czy społecznych, choćby w nich tkwił nawet najsilniejszy zaczyn rewolucyjny, samo przez się nie może być akcją dramatu, a forma tych wypowiedzi, mimo że je stworzył taki mistrz słowa jak Morstin, nie jest jednak formą rapsodyczną. Dramatyczne są w tej akcji tylko pewne momenty, ale przegradzają je długie okresy przemówień. Dla odżywienia całości zatem posłużono się stroną wizualną, która wypadła doskonale.

Świetny był pomysł wprowadzenia żywym na scenę ludzko ucha-nakteryzowanych postaci kobiecych z dwóch znanych cieniu światu portretów (stad tytuł przedstawienia) a strofy recytowane przez Cecylię Gallerani należą do najładniejszych w całym tekście.

Na ogół układ sceniczny, stroje renesansowe, ugrupowania, ruchy, oświetlenie, to niezmiernie proste a tak pogodne, jakim stałe są trzy arkady oparte na cienkich kolumnach a za nimi czysty, niezmacony błękit — wszystko to razem dawało szereg żywych obrazów ruchomych i wciąż zmiennych, a tak miłych dla oka, że można było wybaczyć rozegrwane przy tym a nie zbyt szczerliwie skomponowane sceny epizodyczne.

Tylko... gdzie się wśród tego wszystkiego podział rapsodyczność?

Odnależć ją można było jedynie w chórze złożonym z trzech postaci kobiecych. Ubrane — tak jak to bywało w samych początkach istnienia Teatru — w gładkie suknie tego samego koloru co zasłona, na której tle występowały, wypowiadały przepiękną, nieskazitelną dykcją komentarz do wszystkiego co się dzieje na scenie i objaśniały to historyczno-obyczajowe. Ale... znów musi być jakieś „ale”... niektóre ustępy zbytnio zatracają o zwyczajną publicystykę. W tym sposobie podawania tekstu tkwi pewna dysharmonia, którą należałoby usunąć.

Alina Świdowska



Andrzej ODNOWA

# Inteligencja sprzed pół wieku

## „Wujaszek Wania“ Czechowa w Teatrze Kameralnym

JEST w „Wujaszku Waniu“ pewien motyw, i to motyw przewo dni, który współcześnie nie może nie dziwić swą obsesyjnością. Prowincjonalni inteligenci, Iwan Wojnicki, a częściowo i dr Astrow, winą za zło otaczającego życia obciążają takich przedstawicieli górnej sfery inteligencji, jak prof. Sieriebiakow z jego rozdetą naukową sławą, jak jego młoda, slična, próżna żona, córka senatora. Cały dramat stoi pod znakiem tych dwojga ludzi, ich niszczącego przejścia przez i tak już smutne środowisko rosyjskiej prowincji: „Przyjechała pani tutaj z mężem i wszyscy, którzy pracowali, krzatali się, budowali coś, musieli zaniedbać swoje sprawy i przez całe lato zajmować się tylko podagrą pani męża i panią samą! We dwoje zaraziłście nas wszystkich swoim nieróbstwem... gdziekolwiek stąpi pani albo pani mąż, wszędzie przyniosicie ruinę...”

Oczywiście, nie łatwiejszego, jak z przyjętego z góry stanowiska, z wyżyn współczesnej naszej wiedzy o prawach społecznego rozwoju widać błędność, niezasadniczość głównego konfliktu sztuki Czechowa, może nawet próbować podważyć jej wartość w ogóle... Jakie szczęście, że artysta może nie być bezbłędny ideologicznie, aby mimo to u k a z y w a ć prawdę swego czasu. Komentarz pozaartystyczny do sztuki przynosi często dopiero historia, prostując krzywizny rozszerzając ograniczoną widzenia artysty.

Aby zrozumieć ideowe spojrzenie Czechowa w „Wujaszku Waniu“ (1897), trzeba uświadomić sobie jego poglądy na poszczególne warstwy ówczesnej Rosji. Na przekór prądom „czystej“ sztuki Czechow. do niedawna tylko subtelny esteta, coraz bardziej zaostrzał swój stosunek do społecznej rzeczywistości i miał na nią poglądy własny. I to poglądy wcale wyraźny, choć z natury rzeczy mniej doskonały od tego, jaki uzyskuje dzisiaj najskromniejszy uczestnik ideologicznego kursu.

Ziemiaństwo uważa Czechow za skazane na nieuchronną zagładę, poświęci mu w „Wiśniowym sadzie“ już jedynie melancholijne wspomnienie. W stosunku do mieszczaństwa nie żywi złudzeń, „Chłopi“ są bardzo jednostajni i mało rozwinięci“, Czechow nie widzi w chłopstwie siły historycznego postępu. Znaczenie warstwy robotniczej pojmie dopiero pod sam koniec życia — wyrazi je w porwujących słowach studenta-socjalisty Trofimowa. Padną one ze sceny już po śmierci pisarza, w przededniu rewolucji 1905 roku, której nie doczekał. W okresie „Wujaszka Wania“ niewesoło rysuje się obraz społeczeństwa w spojrzeniu Czechowa. Dr. Astrow, mianik na punkcie zieleni w krajobrazie, rozpacza przed Heleną taki rozpaczliwy widok Rosji: „Tak, rozumiałbym, gdyby na miejsce wyczerpanych lasów przebiegały szosy, koleje żelazne, gdyby tu były fabryki i szkoły — wówczas lud stałby się zdrowszy, bogatszy, mądrzejszy... Ale przecież... są wciąż te same bagna, komary, te same bezdroża, niezła, tyfus, dyfteryt, pożary... Zwyczajnie na skutek zbyt uciążliwej walki o byt, ciemnoty...”

W tym układzie rzeczy całą nadzieję dla narodu upatruje Czechow w inteligencji. Stał takie wywyższenie jej roli w „Wujaszku Waniu“, stał te oświecające barwy dla odmalowania jej postaw, ale stał również te gromy rzucone na tych jej przedstawicieli, którzy zawiedli, stał w III akcie scena owego historycznego zamachu rewolucyjnego Wania na Sieriebiakowa.

Przedziwny był w owych latach ten kult inteligencji i talentu — Czechow odtwarza tu rzeczywiste zjawisko społeczne, zjawisko podobne jak w okresie naszego pozytywizmu. Nasza „praca organiczna od podstau“ nosiła tu nazwę „teorii małych dzieł“, a wpływ jej, jak u nas w wypadku Szczebanowskiego, Brzozowskiego, Zeromskiego, przetrwał i tu jeszcze u przedstawicieli naturalizmu czy neoromantyzmu. Spójrzmy na takiego Astrowa, w którym Czechow — również lekarz-społeczny — pokazał w pewnej mierze samego siebie. W tydzień o losach i cywilizacji kryje się marzenie tego entuzjasty o nowym, radosnym świecie, którego zasadą będzie twórczość. Nieśmiało wyprzedza ono socjalistyczną myśl o przekształcaniu przrody: „Gdy słyście, jak szumi młody, własnoręcznie przecie mnie zasadzony las, uświadamiam sobie, że klimat jest po trosze zależny i ode mnie“.

Nawet piękna Helena tej sztuki zakochana jest w talencie, równoznacznym dla niej z od wagą, swobodną głową, szerokim rozmachem. Ludzie z talentem są rzadcy, należy ich kochać, w każdym działaniu mający im się szczęście ludzkości...

A tym dopiero tle wyjaśnia się tragedia Wujaszka Wania, tragedia inteligenta. Wania wraz ze swą siostrzenicą Sonią uwierzył przed laty w talent i posłannictwo swego szwagra Sieriebiakowa. I ci ofiarni ludzie rosyjscy poświęcili swe życie, własne upodobania i zdolności,

Wania i jego siostrzenicy znajdują swe ujście w szczególnym rodzaju religijności, której niezwykłym akordem zamyka się dramat Czechowa. Jest to religijność typu na pewno zbyt obronnego jak na nasze odczucia, religijność ucieczki i pocieszenia, raczej mroczna niż jasna, wyrastająca z tradycji długich wieków cierpienia i uległości. Dużo w niej wyrzeczenia, nieoczyszczonej intelektualnie pokory i litości, lecz nawet w tej odmianie, uwarunkowanej przestępnymi i czasową, dochodzącą tu do głosu religijność wyraża pewien prawdziwy aspekt życia,

wigi Przeradzkiej dobrze charakteryzowały środowisko akcji, rozumiało się celowość wprowadzenia i kolumn, i huśtawki, i ogromnego, rozświetlonego drzewa w I akcie, mo że jedynie faktura tego drzewa niepotrzebnie kłóciła się z otoczeniem.

N AJWAŻNIEJSZY był jednak sposób mówienia tekstu Czechowa, w nim klimat naturalności objawiał się najwymowniej. Uzyskano wrażenie pełnej swobody i prawdy, pauza wypełniła należną jej rolę, był to niewątpliwie styl Czechowa: „Nie co chwila ludzie strzelają się, wieszają, składają sobie nawzajem miłosne wyznania. Przeważnie jedzą, piją, wólcą się, plotą głupstwa. Trzeba to pokazać na scenie. Trzeba stworzyć dramat, w którym bu ludzie wchodzą, wychodzą, jedli, mówili o pogodzie, grali w karty... Niech na scenie wszystko będzie równie proste i równie zawiłe jak w życiu...“ W przedstawieniu warszawskim zbliżono się do tego w maksymalnym stopniu, a odpowiadającym sprawdzianem stały się m. i. wcale liczne tu monologi bohaterów: Wania, Soni, Heleny. Wypadały one z reguły bardzo przekonująco.

Co uczynić dziś, w dobie socjalizmu, dominanta spektaklu Czechowa? Takie pytanie stawiał sobie również w r. 1940 Niemirowicz-Danczenko wznawiając „Trzy siostry“. Odpowiedział na nie, kładąc nacisk na marzenie, tęsknotę ku lepszemu życiu, poczucie obowiązku. Podobna linia przewodnia słusznie przejawiała się również w przedstawieniu warszawskim. Realistycznie ukazano tu powikłania wewnętrzne, neurastenie, zbłąkani bohaterów dramatu, ale jeszcze może wyraźniej odsoniło ich etyczny idealizm, ich poczucie obowiązku społecznego, ich świadomość, że właściwym powołaniem i ocaleniem człowieka jest praca.

Nader szczęśliwie nie przeczerńono, nie ukazano wyłącznie jako dekadentów prowincjonalnych inteligentów, Wanie i Astrowa. Wania Mieczysława Mileckiego, o twarzy zmiętej, o niezwykłym wyrazie oczu, może trochę jak u Simonowa z „Zywego trupa“, ze spojrzeniem przybitym, w III akcie półobłądnym, łączył w jednolitym stopniu społeczny ofiarnik z akcentami ironii i buntu. Był bezbronią wrzucany na scenie z kwiatami, a pełen siły w wybuchu nienawiści. Nowe osiągnięcia tej wyraźnie kryształującej się indywidualności aktorskiej. Jan Świdzki jako Astrow zachował to i owo z prowincjonalnego demonicznego uwodziciela, jakim go często dotąd przedstawiano, zdobywco pewny siebie, leniwie wodził oczami za Heleną, dużymi krokami przemierzał scenę kołysząc się, niedbałym ruchem, lecz w tym



Państwowy Teatr Kameralny w W-wie. „Wujaszek Wania“ A. Czechowa. Na zdjęciu E. Barszczewska (Helena) i J. Świdzki (Astrow) fot. C.O.P.A.

Astrowie ważniejsze jeszcze było marzenie o innym, lepszym i pięknym życiu, wobec którego i pijanstwo, i erotyzm były tylko pomyłką.

Wspaniała kreacja aktorska ukazała jako Sonia Ryszarda Hanin. Oparła swą grę na dobrze przemysłanej wewnętrznej dialektyce uczuć. Jej Sonia była niemal jeszcze dziecięca w swym szczerym porywie miłosnym. W swej nadziei na miłość ukochanego, miała zarazem tyle bezinteresowności w swym uczuciu, że nawet coraz lepiej pojmowany tragizm tej miłości nie przeszkadzał jej

czuć się samą jej przedmiotem. Jasność przesilała się ze smutkiem w grze Hanin o tonach delikatnych i bardzo subtelnych. Artystka stworzyła piękny typ kobiety-pocieszycielki, postać wyjątkowo szlachetna i jakże kobieco prawdziwa np. we wspaniałej scenie wania u drzwi ukochanego.

Elżbieta Barszczewska grała Helenę jako pozerkę, senną lalkę „leniącą się żyć“, o uśmiechu próżnym, drażniącym, pełnym samopodobaństwa. Miała w tej trudnej roli wiele doskonałych zagrań, zwłaszcza mimicznych, jak owo kłamiwe, podwójne spojrzenie wobec przyjaciółki-rywalki w III akcie. W całości roli uderzała może pewna nerwowość wynikająca z aż zbytniego bogactwa drobnych odcieni, zresztą b. dobrych, przy braku jak gdyby bardziej jednolitej — nawet kosztem pewnego uproszczenia — i bardziej przemyślanej koncepcji postaci.

Znakomity w każdym calu był Antoni Różycki w roli despotycznego egoisty, prof. Sieriebiakowa. Znakomity zarówno w olimpijskich wystąpieniach à l'exterieur, jak i w ściśle kameralnych scenach z żoną. Kreacja, której wspaniałą naturalność i realizm nieznacznie może tylko osłabiło samo wyświecenie, o drobny odcień zbyt publicystyczne. Zbyt sa twyczne — lecz to już chyba sprawa reżyserii.

Pełną przekonania i wewnętrzne go cienia postać Niani stworzyła Janina Munclingerowa, wnosząc nią w klimat całości spektaklu jakąś poezję prostej, nieśpiesznej egzystencji — niezrównany nassus o kłuskach w rozmowie z Tieleginem nie przepadł w tej interpretacji.

Rola Tielegina jest rolą o zupełnie szczególnym znaczeniu w „Wujaszku Waniu“, nie wyczerpuje jej bynajmniej problem, czy ten rezydent będzie bardziej czy mniej podupadłym eks-ziemianninem. Oprócz bowiem aspektu ściśle realizmowego tej postaci — aspektu, który Konstanty Pagowski w pełni wygrał, będąc na przemian wrzucającym ubogim krewnym, przymilnym, rozbrajającym drażliwym w zadraśniętej ambicji, to psioścącym ze starą służką na jasnie państwa lub nawet w chwili ich wyjazdu zgola zjadliwym — postać ta ma jeszcze pewien aspekt symboliczny, o którym reżyseria nie mogła zapomnieć. Postać Tielegina to jakiś neoromantyczny odpowiednik chóru klasycznego, to komentator wydarzeń scenicznych, scalający nastroje dramatu swą pochwałą życia wraz z jego radościami i smutkiem. Ze swą nieodłączną gitarą Tielegin pełni w tym sensie rolę zupełnie swoistą w dramacie. Pagowski pojął ją wybornie i zespolił w niej całkiem szczęśliwie akcenty realistyczno-krytyczne z ważniejszą jeszcze od nich funkcją estetyczną, no-emojonalną w ramach całości spektaklu.

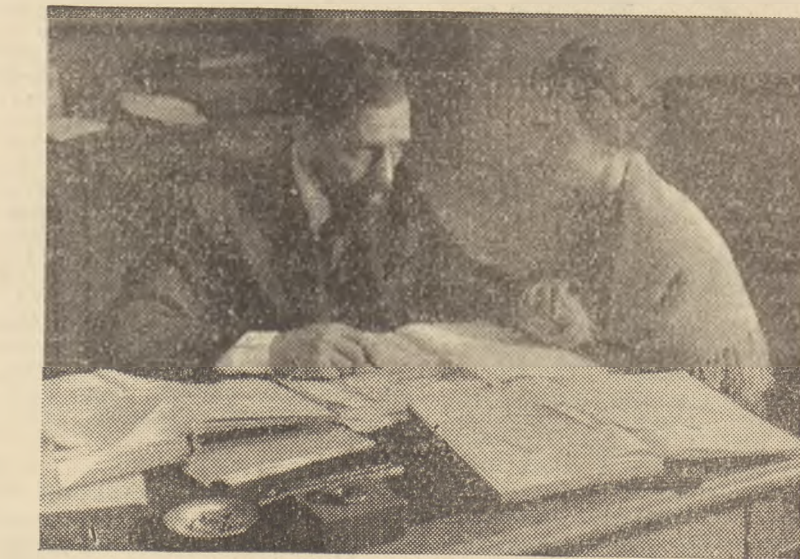
Porwany wrażeniem przedstawienia „Wujaszka Wania“ — premiera odbyła się w r. 1899 w Mchacie — Maksym Gorki napisał do autora em tuzjastyczny list. Mówił w nim o „udarcie się piękna w nędzne życie ludzi“ i o innych uogólnieniach, które dramat budzi. Nazwał go „rzc czą zupełnie oryginalną, rzeczą cudowną“. Jeśli po przeszło pół wieku sprawy tamtejszej inteligencji nadal żywo nas poruszają, jest to znak trwałej wielkości pisarstwa Czechowa. Lecz zarazem jest to i sukces artystycznego wysiłku całego zespołu Teatru Kameralnego i inscenizacji prawdziwie poetyckiej, którą po długiej przerwie znowu w Warszawie oglądamy. Andrzej Odnowa

## Sprostowania

Do nr 5(375) naszego pisma wkładła się przykra pomyłka. Zniekształcono mianowicie nazwisko autora artykułu zatytułowanego „Wspominając Jokaya“. Nazwisko to powinno brzmieć: Zenon ŁUKASZEWICZ.

Do recenzji L. Proroka z poznańskiej inscenizacji „Mieszczan“ Gorkiego w nr 6 (376) zakradło się parę przykrych błędów zniekształcających koncepcje autora recenzji.

I tak: w końcu II akapitu zamiast „obniża istotę związków“ ma być „obniża istotę związków“. W środku III akapitu zamiast „...dekoruje mieszczanin“ ma być „...deklaruje mieszczanin wobec...“ Wreszcie zamiast W. Rykowska i A. Zasadniak ma być: W. Bykowska i A. Zasadniak.



Państwowy Teatr Kameralny w W-wie. „Wujaszek Wania“ A. Czechowa. Na zdjęciu R. Hanin (Sonia) i J. Świdzki (Astrow) fot. C.O.P.A.

aby przyspieszyć potrzebną społeczeństwu karierę humanisty. Wania podjął trud ekonomii, aby mogły trwać badania tamtego, ukazywać się jego książki. Sieriebiakow zrobił karierę, zdobył katedrę, lecz okażał się zerem, nietwórczym pedantem, aspołecznym, zapatrzonym w siebie egoistą, zajmował całe życie cudze miejsce! Spotegowany przez beznadziejną miłość do kobiety — próżniaczki i próżnej istoty, której pojawienie się w wiejskim dworku wykołaja na całe miesiące bieg życia dwu twórczych inteligentów — budzi się w Waniu bunt przeciw dłużej niż boższemu, przeciw swemu zmarnowanemu życiu. Ten szczytowy punkt dramatycznego napięcia odczytujemy i dziś jako niezmiennie aktualny apel do inteligencji: wołanie o twórczy maksymalizm. Lecz po tym wybuchu wracamy do sytuacji z początku dramatu, do utrzymania w swej ważności kategorycznego imperatywu pracy i cierpienia.

Cierpienia... Tak, właśnie cierpienia. Przy bardzo bowiem szczytnym pojęciu o zadaniach jednostki („W człowieku wszystko powinno być piękne: i twarz, i ubranie, i dusza, i myśli“ — to zdanie znalazło się po śmierci w notatniku bohaterowej Zoi Kosmodemianskiej), przy wyjątkowo pięknych i czystych postaciach, jak Sonia czy Tielegin, typowi ówczesni idealisci poddają się Czechowowi ciągle na nowo nastroszonym pesymizmowi i rezygnacji, popadają w hiperkrytycyzm i manię samooskarżeń, staczają się wreszcie w nałóg pijactwa. Społecznym tłem tych nastrojów jest właśnie dysproporcja między ogromem zadań przy pisanych inteligencji a rzeczywistością gospodarczo-społeczną Rosji, zbyt już bolesne napięcie między myślą a bytem. Czechow miał intuicyjne przeczucie rozwiązania tej sprzeczności, kiedy pisał: „Należy walczyć nie z chorobami, lecz z przyczynami wznobującymi choroby“ („Dom z facjatką“), ale w całości kształcie swej twórczości zatracił tę intuicję. Dalecy od pojęcia wtórności myśli w stosunku do bytu, inteligentcy bohaterowie Czechowa pozabawieni są historyczno-cywilizacyjnego optymizmu i załamują się pod ciężarem zbyt już wyłączonej odpowiedzialności, jaką sami sobie narzucili za życie całego narodu, wszystkich jego klas.

Oczywiście, jest to tylko jedno, społeczno-źródło pesymizmu w „Wujaszku Waniu“. Pesymizm jest sprawą starszą jak świat, rodzi go samo spojrzenie na wielość spraw, również jednostkowych, niezależnych od słabej ludzkiej woli. Tragizm społeczny, tragizm osobisty, miłosny



# UCZESTNIKOM »BENEFISU ŻYCIA«

krytykom-racjonalistom Nowego Testamentu (Rudolf Bultmann), tak ostro zwalczanym przez katolickich uczonych.

W czasie rozszerzania się Dobrej Nowiny Chrystusowej istniały na terenie Azji Mniejszej kultury misterii, oparte na różnych legendach, dotyczących bogów i herosów mitycznych, które próbowały się wdzierać w krąg ideowy chrześcijaństwa. I właśnie te próby spotkały się z wrogim stanowiskiem pierwszych filarów Kościoła, na co posiadamy dokumenty pierwszorzędnej wagi. Święty Piotr w swym liście do wszystkich gmin pisze: „Bo nie w oparciu o zmyśloną baśnię oznajmiamy wam moc i przyjdzie Pana Naszego, Jezusa Chrystusa” (Piotr, 1, 16). Apostoł zaś Narodów w liście do Tymoteusza, swego następcę w Efezie, napomina: „A niedorzecznych i nadających się dla starożytnych baśni uwaga i ćwiczyć się w pobożności” (1 Tym. 4, 7).

Tradycja apostoelska, poprzez dzieła Ojców Kościoła i pisma świętych, dotrwała do naszych czasów. W jej świetle sprawa obywatelstwa w literaturze katolickiej motywu: „Chrystus-Dionizos” nie bardzo pozostaje otwarta.

Projektowany motyw musi też wyrażać się w oczach każdego nowożytnego, nie zafatygowanego renesansu w muzykę katolika, który ma w sobie żywy sensus catholicus — szczególnie podejrzany.

Myśmy liźnili też coś nie coś mitologii greckiej i znamy Dionizosa nie tylko z szyldu baru pod Bachu-

sem. Z opisów najlepszych znawców i entuzjastów mitologii wyciera ku nam ten zniewieściały młodzieniec, wychowanek Sylena, tysego, wiecznie pijanego starca o tłustym, obwisłym brzuchu i grubych, zmysłowych wargach, ten wesły młodzieniec, wędrujący beztrudnie po ziemi w towarzystwie menad, bachantek, kozłonogich satyrów, sprośnych panów, sylenów o końskim ogonie i centaurów. Cała ta dzika, szalona czereda otacza stale rydwan boga, bijąc w bębny i cym bały, grając na fletach i piszczal-kach. W gruncie rzeczy jest to postać dość tajemnicza i nawet starożytnym trudno określić co właściwie wyobraża. Ale już tragicznie ateński Eurypides stawia ją taką definicją: „Dionizos jest bogiem rozkoszy”.

I wiadomo nam, że ten nieistniejący twór wyobraźni doznawał wielkiej czci w Grecji, że miał swoje święta, sławne Dionizje. (Daleka analogia — słowiańskie Kupaly). Obcho dzono je uroczysto za pomocą obrzędów zwanych „orgiami”. Orgie polegały na tym, że kobiety z zapalonymi pochodniami wśród dzikich śpiewów i krzyków biegaly po lasach i wawozach, a pijani mężczyźni u-wiecznieni białym, z dzbanami pełnymi wina gonili za nimi całą noc, podniecając się świętym okrzykiem: Eueoi! oraz rubasznymi piosenkami. Szalone tańce, ogłuszająca muzyka i zwierzęce wrzaski miały wytworzyć ekstazę, czyli duchowe połączenie się z bóstwem, chociaż owa ekstaza w praktyce rzadko dochodziła pobożnych uczestników orgii i dlatego upragnione połączenie duszy z bóstwem imitowali innymi połączeniami, niezbyt cnotliwymi.

My wiemy, wiemy naturalnie, że różne były Dionizje i rozmaicie je obchodzono, że Dionizos wyobrażał ma nie tylko ducha wina i apoteozowaną opilostwo, ale że ma rzadki rdzeniem, śmiercią, nawet zmartwych-wstaniem, że objawia się w bujnej przyrodzie wiosny. W jego kulcie jest mimo wszystko coś głębszego, coś, co pozwala katolikowi spojrzeć na ten dziwny kult nieświadomych prawdy objawionej pogan z sympatią i powiedzieć sobie: „Ci biedacy zbi-li się w swoich tęsknotach religij-nych, dzięki jakiejś wzniołej intuicji, do tajemnic Chrystusowych, imito-wali ekstazę religijną piątkim odu-brzeniem, nie wiedząc, że sprawdza-ją najjaskrawszą treźwość modlit-wy, uskrzydłonej łaską”. Można by te dionizyjskie rozważania rozwinąć, wysnuć z nich ciekawe analogie, na pisać jakiś dramat...

(Dokończenie ze str. 6)

To wszystko, co może zrobić katolicki pisarz. Ale co robi u pana Gerarda nasz Jeden Jedyny Bóg-Człowiek wśród uczestników dionizyjskiej orgii, vel — co robi mityczny Dionizos wśród ortodoksyjnych wyznawców Prawdziwego Boga na historycznie umiejscowionej uczcie, podczas której Syn Boży spełnia swój pierwszy cud, zdobywając się na nadludzkie wprost wysiłki — o tym wie każdy rzetelny pisarz.

Owszem, styl p. Gerarda ma swoją, zaiste, oryginalność. Polega ona na bezcelnym zaprzeczeniu stylu. Świadczy ona również o „żywości, temperamencie i wielkim rozmachu...” pana Gerarda. Ale co znaczą te słowa w ocenie stylu? Jeśli byśmy traktowali „styl” Gerarda jako żywioło-wą erupcję słów niecierpiących zwłoki, niekontrolowanych, bezpośrednich, co miało być dla niego tytuł-cem zasługi — to pamiętajmy o tym, co powiedział wielki Stanisławski o grze jednej z aktorek podczas próby nowej sztuki, gdy zauważył u niej autentyczne złw. Trzeba być niepo-słednim i bardzo opanowanym mistrzem, aby osiągnąć wrażenie ży-widowości w dziele sztuki. Można komuś nawymyślać z wielkim rozma-chem i temperamentem, ale wyrzucać z siebie na papier niechłujnego potoku słów weale się nie pokrywa z żywością i rozmachem epickiego stylu.

„Nie ma literatury bez powagi”. Kto bierze słowo, aby w nim wyrazić swą duszę, nie może się nim posługiwać z niefrasobliwością pensjo-narki, która pisze w odczynnym, gru-bym brulionie powieści, natchniona przez „Na ustach grzechu” Magdale-ny Samozwaniec, jak to robi pan Gerard w swoim słynnym już dziele (dzięki mnie) utworze. Kiedy ten mistrz słowa np. pisze: „Anna ule-gła przyspieszeniu serca” — domy-slamy się dzięki naszej dobrej woli, co się stało biednej Annie, ale nie-chaj pan Przekora nie każe nam się zachwycać tymi śmieszonymi, niepo-radnymi zwrotami, nie dającymi się już dalej sparodiować, od których roi się „Benefis”.

P. Gerard napisał swoje opowiadania nie prozą, co jest słuszne. Ale proza od paru tysięcy lat swego istnienia doszła do wielkiej perfekcji. W swój jej plastyce, metaforyce, kompozycji rytmicznej, w rozładowaniu i wywa-żeniu członów, w powiazaniach i

nowach będą u innych mistrzów. Nikt dziś nie wierzy w „samorodne talen-ty” i w „dziewicze literatury”. Każdy nowy styl jest dziełem staranne-go wyboru spośród różnorodnych możli-wości. Ludzie, którzy go tworzą, roz-ważają długo zalety ustalonych praw, form, dźwięków, zwrotów, ćwiczą się, niby niestrudzeni gimnastycy w za-wilej rytmice i plastyce słów, tropią, polują na barwne słowo jak myśli-wi na rzadką zwierzyinę, walczą z bezwładem słowa, zdobywając się na nadludzkie wprost wysiłki — o tym wie każdy rzetelny pisarz.

Owszem, styl p. Gerarda ma swo-ją, zaiste, oryginalność. Polega ona na bezcelnym zaprzeczeniu stylu. Świadczy ona również o „żywości, temperamencie i wielkim rozmachu...” pana Gerarda. Ale co znaczą te słowa w ocenie stylu? Jeśli byśmy traktowali „styl” Gerarda jako żywioło-wą erupcję słów niecierpiących zwłoki, niekontrolowanych, bezpośrednich, co miało być dla niego tytuł-cem zasługi — to pamiętajmy o tym, co powiedział wielki Stanisławski o grze jednej z aktorek podczas próby nowej sztuki, gdy zauważył u niej autentyczne złw. Trzeba być niepo-słednim i bardzo opanowanym mistrzem, aby osiągnąć wrażenie ży-widowości w dziele sztuki. Można komuś nawymyślać z wielkim rozma-chem i temperamentem, ale wyrzucać z siebie na papier niechłujnego potoku słów weale się nie pokrywa z żywością i rozmachem epickiego stylu.

„Nie ma literatury bez powagi”. Kto bierze słowo, aby w nim wyrazić swą duszę, nie może się nim posługiwać z niefrasobliwością pensjo-narki, która pisze w odczynnym, gru-bym brulionie powieści, natchniona przez „Na ustach grzechu” Magdale-ny Samozwaniec, jak to robi pan Gerard w swoim słynnym już dziele (dzięki mnie) utworze. Kiedy ten mistrz słowa np. pisze: „Anna ule-gła przyspieszeniu serca” — domy-slamy się dzięki naszej dobrej woli, co się stało biednej Annie, ale nie-chaj pan Przekora nie każe nam się zachwycać tymi śmieszonymi, niepo-radnymi zwrotami, nie dającymi się już dalej sparodiować, od których roi się „Benefis”.

P. Gerard napisał swoje opowiadania nie prozą, co jest słuszne. Ale proza od paru tysięcy lat swego istnienia doszła do wielkiej perfekcji. W swój jej plastyce, metaforyce, kompozycji rytmicznej, w rozładowaniu i wywa-żeniu członów, w powiazaniach i

echach zdań stała się o wiele kun-sztowniejszym, subtelniejszym i trud-niejszym narzędziem od wiersza. Nie stety, proza dla p. Gerarda to tylko: podmiot, orzeczenie, dopełnienie! I tym rudymementem, tym straszliwie jednostajnym, prymitywnym budul-cem gramatycznym, z jakąś często-chowską rytmiką wali w nas nieubła-ganie, nie pozwalając na chwilę wytchnienia, a to jest beznadziejne!

„Rzucił się w ślad za ostatnim. Potężnie kopnął go w tyłek. Nie znał, aby żeń kpili. Ciekawość wzmagala w nim gniew. Rozesmianych do gości wypędził. Poprzedzała ich dobra wiadomość. Ten czerwony z nalaną twarzą wyszedł służącym na przeciw. Biesiadnicy wysłali go naprzód”. (D. i J. nr. 47, str. 6)

Tak właśnie, moi mili państwo, to się ciągnie przez cały „Benefis ży-cia”. Ja wiem, że w ten sposób ktoś, na kogo „zawszad nadlatują wciąż nowe przestrzenie”, ktoś, kogo „ogrom, rozrastający się w pier-siach aż mdli”, może bez fatygi wyrzucać z siebie wielotomowe utwory, ale przecież istnieje, istnieje na li-tość boską — czytelnik!

Nie, panie Przekora, nie wtedy, gdy pisałem swój nastąpiły list do redakcji, będący jedynie wrzaskiem doprowadzonego do rozpaczki czytelnika, czulem się skompromitowany — ale teraz, gdy próbuję na serio brać gerardowską pracę i poważnie ją krytykować.

A krytykuje ją dlatego bezwzględnie, że p. Gerard jest moim bratem, bratu zaś należy dobrze czynić. Chcę przybliżyć go do sławy, której łaknie, przez ukazanie mu prawdy. Mimo partackiego „Benefisu” nie sądzę, aby kiedyś nie miał się stać świetnym pro-zaikiem, chociaż to „kiedyś” jest jeszcze od niego niezmiernie odległe. Narazie jego proza — to tylko raso-wo, tegi, wspaniały wyraz grafoma-nii, który można podziwiać — nie bez pożytku.

I czy należy się dziwić naszym za-pobiegliwym redaktorom, którzy, wietrząc od dawna posuchę na utwo-ry literackie z prawdziwego zdarze-nia, a wiedząc (choćby z racji wyko-nowanego zawodu), że na bezrybiu i rak ryba — uhonorowali drukiem „Benefis życia”?

Chociaż ja, na miejscu autora „Be-nefisu”, miałbym do nich z tego po-wodu lekka pretensje. Nieprzyjemnie jest być kozłem ofiarnym nawet tak mądrej Redakcji.

Tadeusz Kordyasz

## Glosa umiarkowana

(Dokończenie ze str. 7)

skoro przeważa w nas skłonność do zła...

taniec z węzłem (o czym wspomniano się już wyżej);

preca Szymona-rzeźbiarza nad po-sągami Anny. Wszakże Zakon zakazy-wał jak najostrożniej jakiegokolwiek przedstawiania w rzeźbie czy malun-ku postaci ludzkiej czy zwierzęcych nawet. Przepis ten był przestrzegany bardzo rygorystycznie.

### VI. CZY?...


Czy redakcja „Dziś i Jutro” posta-piła słusznie drukując „Benefis ży-cia”?

Tak! Świadczy o tym dyskusja, która rozwinęła się w związku z tym opo-wiadaniem, dyskusja będąca świadectwem zainteresowania czytelników, świadectwem żywośności uczuć i zagadnień, które zostały przez to opowiadanie poruszone.

Zgorszenie? Pamiętamy, że sprawy i rzeczy nie mogące budzić nawet najmniejszych wątpliwości z punktu widzenia moralnego — mogą mimo to budzić zgorszenie.

Oczywiście „Benefis życia” nie jest lekturą dla dzieci. Ale nie można chyba stawiać postulatów, by wszystko co ma się ukazać w czasopiśmie tego typu odpowiadało wymogom stawianym z punktu widzenia „Swierszyczka”.

Jerzy Zakrzewski



**PAX**

Modlitewnik dla Dorosłych  
JESU DOBRY PASTERZU  
Oprawa w płótno  
Cena zł. 20.—

Sigrid Undset  
OLAF SYN AUDONA  
2 tomy  
Cena zł. 75.—

Janina Kolendo  
SZUKAJĄC DROGI  
Cena zł. 20.—

Tadeusz Gajcy  
UTWORY ZEBRANE  
Cena zł. 25.—

J. Nowak-Dłużewski  
KS. STANISŁAW KONARSKI  
Monografia  
Cena zł. 20.—

Wysyła Biuro „sprzedaży „PAX”, Mo-kotowska 43. Warszawa. za zalicze-niem lub po wpłacie na konto PKO nr 1-8313 z dodaniem zł 3.— na koszt przesyłki.

## Od wścibskiego cesarza do płacziwego premiera

(Dokończenie ze str. 9)

W. Knot, żaden przygód kanadyjski awanturnik nie spał i nie jadł opętany jedną myślą: „Jeśli nafta jest na Kuzakzie, to czemu jej zło-tonośne żyły nie miałyby sięgać również terytorium Persji?” Człoi wości odnalezienia źródeł były wed-ług niego tym większe, że jakoby w świątyniach perskich przed setkami lat płonęły ogromne pochodnie na cześć boga Ormuzda. Z uporem badał Knot skrupulatnie pustynie per-ska, wszystkie ruiny pałaców i świą-tyń, by wszędzie trafić na jedno z najbogatszych źródeł ropy na świe-cie.

Okolice Mahommerah i Koweit stały się przedmiotem ogólnego za-interesowania. Persja nie była kolonią angielską, ale odkrycie nafty pograżyło ją wówczas w całkowitą zależność gospodarczą i polityczną od W. Brytanii, która już od dawna spenetrowała ekonomicznie cały Środkowy Wschód.

Złowrogim symbolem tej inge-riencji w sprawę wewnętrzną Persji stał się dla wyczerpanego wojną z Turkami i wojną domową kraju narzucony mu przez W. Brytanię układ w roku 1919. Odtąd już ofi-cjalnie wojska angielskie okupowały pograżony w nędzy i ciemności Iran.



DIVIDE ET IMPERA

R WAWYMI zgłoskamj zapi-sała się nafta w dziejach na-rodów Bliskiego Wschodu — Kur-dów, Asyryjczyków czy Arabów. Ludność zamieszkująca góry, pusty-

nie i delty, obdarzona ogromnym temperamentem i umiłowaniem wol-ności, była kilkakrotnie skierowywana przeciwko Turkom, potem zaś w wygranej wojnie przeciw sobie i bestialsko masakrowana przez brytyjskie korpusy ekspedycyjne. W wyniku tych walk niektóre mniejsze narody wyginęły bez śladu (Asyryj-czycy), inne wykrywaly się straszli-wie. Anglia nie mogła zzwolić na powstanie silnych, jednolitych państw tam, gdzie liczyła na najcenniejsze surowce. Utworzono więc karły w rodzaju Transjordanii, Arabii Sau-dyjskiej, czy Iraku. Wszystkie te państwa W. Brytanii uzależniła od siebie, postanawiając do ich żył zio-todajnych niktogo nie dopuścić.

Poszukiwania kontynuowano. Bo-gactwa Mezopotamii zostały odkryte wkrótce po nalfcie perskiej przez misjonarza angielskiego Harwooda. Są to prawdopodobnie „źródła Ba-bilczu”, o których pisał 24 wieki te-mu Herodot.

Stosunkowo najpóźniej zostały od-krzyte żyły Arabii.

W czasie, kiedy Anglicy dziurawi-li Persję, Amerykanie eksploatują-cy już od 1858 r. własne źródła ropy dobierali się do bogactw Turcji

Rockefeller i Deterding to naz-wiska symbolizujące naftowe zma-gania USA z W. Brytanią. Rozgo-rzała walka o ceny, walka najza-ciętsza ze znanych i najtragiczniejsza w skutkach. Nie było konty-nentu, nie było rynku, który by nie został objęty tą „polityką cen” — czyli wysoce zracjonalizowanym, na naukowych metodach opartym cyn-nicznym wysiłkiem. Wynikło stad wiele nieporozumień dyplomatycz-nych, zatargów politycznych, kryzys-ów budżetowych i, co najtragiczniej-sze, zwielokrotniła się nędza milio-nów ludzi, których pracą w jakiś sposób zależała od normalnego funkcjono-

wania światowego handlu produktami naftowymi. Konferencjom przy zie-lonym stole towarzyszyły coraz lic-zniejsze strajki i wolnościowe zrywy ludów, których świadomość polityczną rosła z każdym dniem. Odbyto kilka ogólnoswiatowych narad, które nie dały żadnych rezultatów. Porozumienie między wielką mocarstwami w spra-wie eksploatacji nafty było już nie do osiągnięcia. Walka Ameryki z Anglią o bogactwa Persji była co-raz bardziej zacięta. Rządy krajów



Bliskiego Wschodu zmieniały się bezustannie. Mordowano proangiel-skich premierów, aby na ich miejsce mogli wejść ludzie o orientacji ame-rykańskiej. Po paru miesiącach, a nieraz dniach sytuacja zmieniała się znowu.

Machinacje te rzutowały się oczy-wiście na sytuację wewnętrzną wszystkich krajów arabskich. Naro-dy tych krajów były jednak do tego stopnia sterroryzowane, że nie mia-ły żadnego wpływu na wybór rzą-dów czy ich politykę.

Bez wielkich zmian sytuacja ta przetrwała do dnia dzisiejszego. Zwiększyły się jedynie wpływy kapi-tału USA kosztem interesów Anglii. Amerykanie wykupili źródła w Ara-bii Saudyjskiej i starali się, przez długi okres bezskutecznie, o kontro-lę wpływów Wielkiej Brytanii. Do-pięli swego dopiero w ostatnich la-

tach, co przyprawiło o konwulsje rządu labourystowskie.

### DLACZEGO MOSSADEK PŁACZE?

O zagadnieniach perskich pisze się i mówi od paru lat. Tu warto by może przypomnieć, że inicjatywa w sprawie nacjonalizacji nafty perskiej zrodziła się w r. 1950 nie bez poparcia Ameryki. Już w marcu 1951 roku została uchwalona ustawa. USA chodziło oczywiście o działanie na szkodę monopolistów angielskich z AJOC, którzy wów-czas jeszcze nie chcieli dopuścić do interesu amerykańskich konkuren-tów. Gdy Brytyjczycy poczuli, że ziemia perska pali im się pod sto-pami, przyjęli arbitraż amerykański (misja Harrimana). Ale było już za późno. Rosnący opór irańskich mas ludowych nawet USA uniemożliwił degadanie się z burżuazyjno-nacjo-nalistycznym rządem Persji. Poła-czone niekorzystną dla nich koniun-kturą siły anglo-amerykańskiego imperializmu zastosowały wobec Ira-nu odwet. W tej chwili burżuazyjny rząd Iranu znajduje się w prawdziwym impasie, a jego pre-mier, sędziwy Mossadek, już przy-słowiowo przy każdym wystąpieniu publicznym zalewa się rzewnymi łza-mi. Wydaje się, że nie tylko po-deszły wiek i stargane nerwy są przyczyną łez irańskiego premiera, który pod rosnącym naciskiem mas ludowych zdecydował się na nacjo-nalizację nafty, a obecnie wbrew narodowi próbuje się dogadać z Amerykanami. W warunkach kapita-lizmu i rządów nacjonalistycznej burżuazji w Persji powodem tej tra-gicznej dla całego narodu, skompliko-wanej sytuacji ekonomicznej Iranu jest b-actwo ziemi perskiej. Boga-ctwo, z którego nie możemy sobie niemal wyobrazić życia. Osobliwy płyn, który daje pracę, wygody i zdrowie wielu milionom ludzi: nafta.

Janusz Przewoński



# Kilka słów o:

## muzyce

### DEKORACJA ARTYSTÓW OPERY POZNAŃSKIEJ ODZNACZENIAMI PAŃSTWOWYMI

W Poznaniu, dn. 8.II br., w obecności wiceministra Kultury i Sztuki Jana Wilczka odbyła się uroczystość udekorowania Państwowej Opery im. Stanisława Moniuszki orderem „Sztandar Pracy” oraz poszczególnych członków zespołu wysokimi odznaczeniami państwowymi.

### NOWA POLSKA SYMFONIA

W programie XIV koncertu symfonicznego stołecznej filharmonii znalazła się II Symfonia Tadeusza Bairda, jednego z najwybitniejszych kompozytorów młodego pokolenia. Baird komponował symfonię tę od maja 1951 do października 1952 r. i na marginesie tej pracy powstały dwa mniejsze utwory orkiestralne: piękny, poetycki „Colas Breugnot” (smyczki, flet) oraz „Uwertura ra giocosa”. Nowa symfonia nazwana przez kompozytora „Simfonia quasi una fantasia” została gorąco przyjęta przez publiczność.

Na tym samym koncercie usłyszeliśmy prawykonanie suit polifonicznej Bacha-Krenza „Sztuka fugi”.

### W 140 ROCZNICĘ URODZIN ALEKSANDRA DARGOMYŻSKIEGO

14 lutego upłynęło 140 lat od dnia urodzin wybitnego kompozytora rosyjskiego Aleksandra Dargomyżskiego.

Aleksander Dargomyżski był współczesny Glince. Pierwszy z kompozytorów rosyjskich podał żył on jego drogą przyswajając podstawowe twórcze osiągnięcia tego kompozytora i wzbogacając rosyjską kulturę muzyczną wieloma znanymi utworami. Opery Dargomyżskiego „Rusalka”, „Gość kamienny”, romanse i pieśni „Stary Kapral”, „Smutno mi”, „Rozstał się się dumnie” wciąż czują się słuchaczy.

Twórczość Dargomyżskiego wpłynęła dodatnio na następne pokolenia kompozytorów rosyjskich, którzy uczyli się u niego szczerego i subtelnego odtwarzania uczuć ludzkich.

### MUZYKA KAMERALNA

Dyrekcja Filharmonii Warszawskiej obiecuje, że koncerty kameralne, tak rzadko obecnie wykonywane, organizowane będą w Warszawie dwa razy w miesiącu. Przyjawszy z radością tę wiadomość odnotowujemy doskonały V kwartet kameralny z dn. 6 lutego br. Uszyliśmy utwory Haendla, Bacha, Scarlatti'ego, wykonane przez Margeritę Trombinę — Kazuro na współczesnym kompozytorom klawesynie, odpowiedniku dzisiejszego fortepianu. Piękny, nieco szklany, bez żadnych cieniowań dynamicznych ton tego instrumentu nadał nową, nieprzeczuwaną, stylową barwę tym utworom, znany z opracowań fortepianowych i organowych.

Jedną z bezsprzecznie najbardziej muzycznych naszych śpiewaczek, Alina Bolechowska, wykonała cztery pieśni szkockie Beethovena. Trio Filharmonii Warszawskiej (Fryderyk Sadowski — skrzypce, Tadeusz Kowalski — wiolonczela, Sergiusz Nadgryzowski — fortepian) odegrała Trio e-mol Beethovena ciorobnie, jak na

nasz gust, za szybko. W sumie koncert z rządu tych, o których długo się pamięta.

### W 143 ROCZNICĘ URODZIN CHOPINA

W związku ze 143 rocznicą urodzin Chopina Towarzystwo im. F. Chopina urządziło w Warszawie i Żelazowej Woli szereg koncertów z udziałem wybitnych muzyków. M. in. dla pracowników ZOR i dla Wojska Polskiego wystąpił: Kędra, Dzikówna i Bogacka, dla pracowników Pałacu Kultury w Jeloncek — Barbara Hesse-Bukowska, w Domu Kultury na Żoliborzu — Jan Berezynski, w Domu Kultury w Piastowie — Smidowicz, Lewicki i Kędra.

Ponadto w Żelazowej Woli, odbył się w dniu urodzin Chopina koncert w wykonaniu Z. Szymanowicza.

### NOWA „NIESPODZIANKA MUZYCZNA” KĘDRY

Popularny pianista, Władysław Kędra, który z wielkim za pałem włącza do swojego repertuaru coraz nowe muzyczne ciekawostki i utwory mało lub wcale u nas nie znane, przy gotowuje dla miłośników muzyki nową niespodziankę. Mianowicie opracowuje obecnie koncert fortepianowy Ravela na lewą rękę. Z dwóch koncertów, jakie napisał ten kompozytor, koncert na lewą rękę jest u nas chyba zupełnie nie znany. Z wielką więc ciekawością oczekujemy zapowiedzianego występu.

### NOWY BALET BULGARSKI

W styczniu odbyła się w Sofii premiera nowego baletu bułgarskiego pt. „Hajduzckawa pieśń”, którego tematem jest walka narodu bułgarskiego o wolność i niezawisłość. Autorem muzyki baletu jest młody kompozytor bułgarski A. Rajczew. Balet wystawiony został na scenie Teatru Narodowego im. Sarafowa.

## Plastyce

### W HOLPIE BELOJANNISOWI

Obraz znanego malarza włoskiego Renato Guttuso, przedstawiający rozstrzelanie bohatera greckiego ruchu wyzwolenczego — Nikosa Belojannisa — zyskuje coraz bardziej na roz-

głosie. Obraz ten, pełen wstrząsającej wymowy społecznej, otrzymał jedną z pierwszych



nagród na ostatnim Biennale w Wenecji, a obecnie jego reprodukcje zamieszcza czasopismo „Vie nuove” jako ilustrację do listu, który Renato Guttuso przesłał na ręce redakcji.

### SALON MŁODYCH MALARZY W PARYŻU

W ostatnich dniach otwarto w Paryżu VI Salon Młodych Malarzy. Są oni naprawdę młodzi, ponieważ żaden z nich nie przekroczył jeszcze 30 lat życia. Wystawa napawa dużym optymizmem, gdyż pokazana płótna ujawniają wyraźny zwrot w kierunku sztuki prawdziwie humanistycznej. Człowiek, jego życie, jego praca, walka z krzywdą społeczną — oto tematy, które najbardziej frapują młodych malarzy. Znaczącym aspektem tego zjawiska jest fakt, że kierunek abstrakcyjny jest coraz słabiej reprezentowany, a jego przedstawiciele są w wyraźnej mniejszości.

Do najbardziej interesujących obrazów pokazanych na wystawie należą: płótno Michała de Gallarda przedstawiające miasto w odbudowie, „Tokarz” pędzla Lucjana Silvie oraz obraz Alberta Duhalque zatytułowany „Warsztaty mechaniczne”. Do najciekawszych portretów należą: „Dziewczynka” Collomba, „Portret Franciszka” Zuka oraz „Kobie ta leżąca” Parsusa.

Wystawiono także wiele pejzaży. Jednym z bardziej udanych jest obraz Michała de Gallarda „Warszawa”, przedstawiający odbudowę naszej stolicy.

### POWSZECHNA WYSTAWA ARCHITEKTURY

8 marca w Warszawie w gmachu „Zachęty” zostanie otwarta największa z dotychczasowych wystaw architekto-

nych. W „Zachęcie” znajdują się plany, makiety i fotografie najwybitniejszych dzieł polskiej architektury z okresu lat 1945 — 52, a także wybór najciekawszych pozycji architektury zabytkowej. Zwiedzający będą mieli możliwość obejrzenia zupełnie nowych i nieznanych projektów przebudowy stolicy. Po raz pierwszy też będą pokazane projekty Nowej Huty, Nowych Tych, Wrocławia, Szczecina, Gdańska. Uwzględnione zostaną również prace architektów dotyczące przemysłu, zabudowy osiedli wiejskich itp.

### WYSTAWA ARCHITEKTURY POLSKIEJ W BRUKSELI

Wielkim zainteresowaniem architektów i publiczności cieszy się niedawno otwarta w Brukseli Wystawa Architektury Polskiej. Wystawa ta, obrazująca rozwój budownictwa Polski Ludowej, składa się z kilkunastu projektów planów i licznych ilustracji. Projekt wystawy został opracowany przez wybitnych architektów pod kierownictwem inż. arch. B. Garlińskiego.

### STULECIE VAN GOGHA

Sto lat temu, w holenderskim miasteczku Crol-Zundest, przyszedł na świat jeden z najwspanialszych współczesnych malarzy, alchemik światła i koloru, Wincenty Van Gogh.

Jego tragiczne życie nasycone aż do dna cierpieniem, pełne rozczarowań i klęsk, jest dzisiaj równie sławne jak jego sztuka.



Wincenty pisał o sobie, że ofiarą i altruizmu. Świat, w którym przyszło mu żyć, cechowała bezdušność i wszystkie odmiany egoizmu. Stąd ten nurt beznadziejności, jakiś uporczywy fatalizm, tak charakterystyczny dla jego życia. Ale z tego cierpienia, z doświadczeń i upadków narodziło się w końcu dzieło olśniewające — od-

ębny, zdumiewający świat koloru.

### WYSTAWA DZIEŁ WALCHA W PARYŻU

Ostatnio w Paryżu w Maison de la Pensée Française otwarta została wystawa prac Ch. Walcha, zmarłego niedawno świętego malarza i rzeźbiarza. Na wystawie zebrano ogromny dorobek artysty powstały w latach 1928-48. Zwiedzający mają możliwość obejrzeć różnorodność talentu zgadłego przedwcześnie twórcy, po dźwiękach wspaniałe obrazy, rzeźby i rysunki, które stanowią już dzisiaj wspaniałą rozdział francuskiej historii sztuki.

## teatrze

### ZJAZD TEATRALNY W WARSZAWIE

W ubiegłym tygodniu obradował w Warszawie Ogólnokrajowy Zjazd Teatralny, na którym pisarze, scenografowie i artyści radzili nad palącym problemem współczesnego teatru. Zjazd tegoroczny różnił się zasadniczo od poprzednich. Obradowano bowiem wspólnie z Sekcją Dramatyczną Związku Literatów Polskich.

Na zjeździe omówiono wyprzedzając działalność teatrów w ubiegłym roku. Stwierdzono niewątpliwą poprawę poziomu pracy artystycznej, jako następstwo szczerze przeprowadzonej reorganizacji teatrów.

Natomiast wielkim minusem życia teatralnego był dotkliwy brak dobrych sztuk związanych z dniem dzisiejszym. Większość utworów współczesnych pisarzy poświęcono tematyce historycznej, nieliczne omawiają problemy antyimperialistyczne, a tylko jedna: „Sprawa rodzinna” Lutowskiego atakuje problemy współczesne. Konkluzją zjazdu było ogłoszenie konkursu na utwór związany z dziesięcioleciem Polski Ludowej.

Muzeum Pomorskie  
w Toruniu

Do Redakcji  
Katolickiego Tygodnika Społecznego  
„Dziś i Jutro”

W a r s z a w a  
ul. Mokotowska 43

W związku z artykułem Stefana Marthy pt. „List z Torunia”, wydrukowanym w Tygodniku „Dziś i Jutro” Nr. 6 z dnia 8 lutego br., Dyrekcja Muzeum Pomorskiego w Toru-

niu oświadcza, że w sprawie odesłania katalogu pt. „Galeria Malarstwa Polskiego XIX i XX w.” (oraz ulotki propagandowej) z prośbą o zwrócenie uwagi na wstęp tegoż katalogu, który wyjaśni dlaczego nie możemy się na naszym terenie ograniczyć tylko do „pokazania sztuki związanej z terenem, owej bogatej w tradycję sztuki toruńskiego miasteczka” — jak pisał autor artykułu. Wystawa Grotgerowska, mająca istotnie charakter bardzo skromnego pokazania, była zmontowana w okresie konferencji pokojowej w Wiedniu i pod tym kątem wdrożenia dobrano plany ze znanymi cyklami, aby przy zadokumentowaniu aktualną chwilę a także pokazać okropności wojny. Co do dziedziny archeologii, to jego wystawa ma wyraźny cel szkolny, dydaktyczny i nie jest „nie zorganizowanym” działem, natomiast zbiory etnograficzne były przedmiotem dłuższej reorganizacji.

Nieścisłości w „Liście z Torunia” powodują różne komentarze, dlatego Dyrekcja uważa za stosowne zwrócić na nie uwagę Sz. Redakcji w imię właściwego i prawdziwego stanu rzeczy.

Dyrektor Muzeum  
prof. Jerzy Remer  
Toruń, dn. 16.II 1953 r.

S. Martha

# GDANŃSKA

URBS GYDDANYZE — pod tą nazwą zniekształconą, ale za to arcy-słowiańska nazwą zapisano Gdańsk po raz pierwszy w kronikach w r. 997. A że źródła z tego czasu są skąpe i powściągliwe, nie wiele wiemy o tym nadbałtyckim grodzie. Wobec przysiężonego milczenia zapisów pozostawała tylko jeszcze ostatnia nadzieja historyków — łopata archeologa.

Teraz dla tych, którzy lubią lubią konkrety — trochę faktów i cyfr. We wschodniej części Starego Miasta u zbiegu ulic Ryckiej i Dylinek w czasie wyburzania ruin natrafiono na ślady starych, drewnianych konstrukcji. Wezwani archeolodzy postanowili kopnąć w nadziei bogatego znaleziska. Na mapie Badań Początków Państwa Polskiego przybył nowy punkt. Pod kierunkiem prof. Jazdzewskiego i dr. Janiny Kamińskiej grupa młodych archeologów rozpoczęła marsz w głąb.

W ciągu czterech lat (1948-52) rozkopano przestrzeń 324 m<sup>2</sup> na głębokości 360 cm. Zbadano dokładnie 9 warstw konstrukcji drewnianych osady rybacko-rzemieślniczej znajdującej się w obrębie gdańskiego grodu. Dziewięć warstw — dziesięć poziomów i 86 domów, które budowano na grząskim gruncie i z nietrwałego materiału, co ówczesny burzono. Na starych fundamentach wznoszono nowe, tak samo klasne (4 x 4 m), duszne i zadymione jak przystało na mieszczenie tych, na których barkach wspierał się ciężar feudalnego ustroju.

Co znaleziono? Ponad 2 tysiące kilogramów naczyń glinianych, 8 kg. surowca bursztynu, 1272 przedmiotów z zakresu rybołówstwa, 946 szczerzków kostnych, 447 przedmiotów z zakresu gziebiennictwa, 535 tkanin i 832 przedmioty szwenske, a nadto odozby szklane, szczerzki łodzi, zwierząt, roślin. Z tego ogromnego łupu zakonserwowano: przedmiotów drewnianych — 3147, metalowych — 1112, tkanin — 305, skór — 832. Ogółem zinventaryzowano około 11 tysięcy pozycji, sporządzono ponad 7 tysięcy rysunków do katalogu, zakatalogowano 6500 przedmiotów.

Przytoczeni cyframi tego bogatego i posiadającego świetne warunki konserwacji znalezisko (o czym świadczy dobrze zachowane tkaniny, skóry, szczerzki organiczne, w tym skamieniałe „na wiaro”

wczesnohistoryczne jajo kurze), w paru słowach omówimy wyniki naukowe i perspektywy gdańskiego ośrodka badawczego.

Dotychczas prace odsłoniły 1/60 pierwotnej powierzchni grodu tj. 1,250 powierzchni Gdańska z XII w. (licząc łącznie z podgroziem, targiem i portem). Granice czasowe obejmują okres lat mniej więcej dwustu licząc od końca XIII wieku w dół. Ale na wleku XI nie wyczerpują się ambicje archeologów, próbnymi wierceń pozwalają spodziewać się na miejscu wykopu głównego jeszcze 8-10 warstw i być może uda nam się ustalić datę początku grodu gdańskiego na pierwszą połowę X w.

Badania pójdą także w kierunku ustalenia topografii miasta, a w szczególności trzeba będzie określić położenie grodu, portu i targu, ustalić kolejne stadia rozwoju i wyjaśnić ich chronologię.

Bogata i pasjonująca dziedzina zagadnień stanowią problemy ludnościowe. Materiał wydobyty z ziemi pozwala stwierdzić bezsporną słowiańskość grodu, choćby na podstawie ceramiki, budownictwa i o. = b; natomiast analiza struktury społeczno-ekonomicznej wysuwa fakt rozwinętego na wielką skalę rękółóstwa, wyspecjalizowania rzemiosł, przemysłów domowych i handlu, co czyni z Gdańska „regularny organizm miejski o charakterze produkcyjnym na długo przed pojawieniem się tu żywiołu niemieckiego.” (K. Jazdzewski: „Gdańsk wczesno-średniowieczny w świetle wykopalisk”).

Archeologia pozwala nam rozwiązywać nie tylko wielkie zagadnienia struktury społecznej, historii i stosunków ludnościowych. Wprowadza nas w świat intymnego życia tamtych ludzi, którzy nie pozostawili po sobie żadnych listów do potomnych, oprócz tego co z tych szczerzków zrekonstruuje nasza wyobraźnia i wiedza.

Wprowadza nas pod niskie zadymione strzechy rybackich chat w sam tajemniczy środek tamtego życia. Każde pochylił się nad wydobytych z ziemi pięciostunnych gęślami, z których dawno uleciała melodia i słowo. I każde zadumać się nad bursztynowym Znakiem Młki spoczywającym tuż koło amuletu w kształcie młota groźnego skandynawskiego Tora.

Redaguje zespół.

Prenumerata miesięczna 1,80 zł Kwartalnie 5,40 zł

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 i p. tel. 880 71 880 26.

Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie przez wtorków i czwartków godz. 11 — 13

Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3 Zam. 515. 4-B-10818